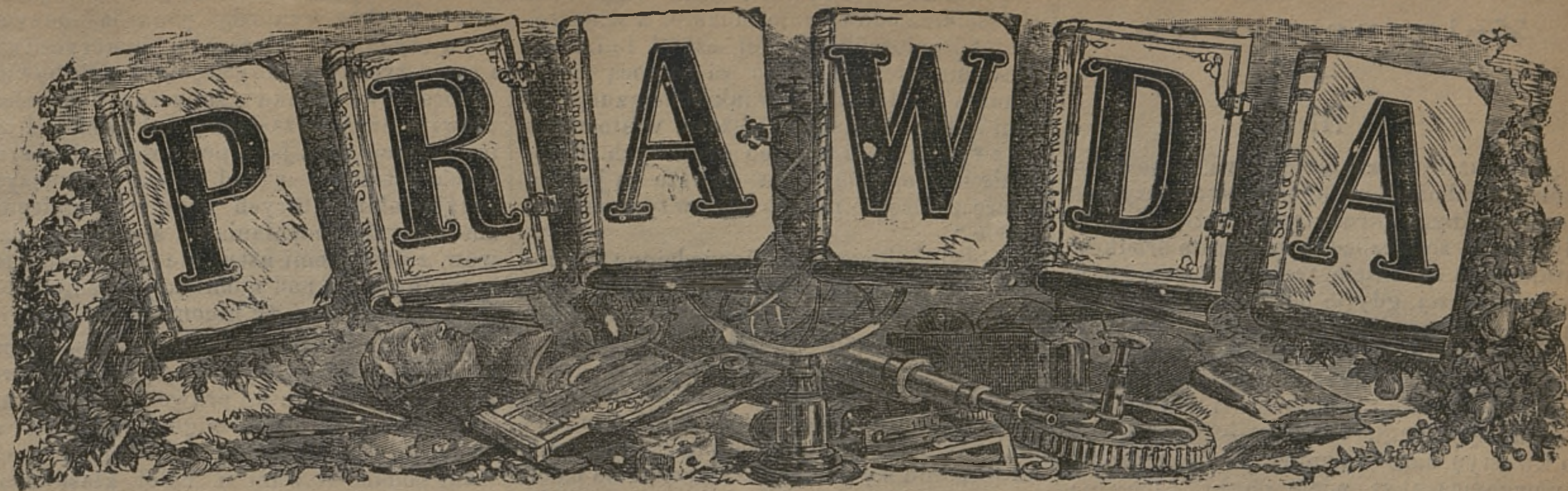
№ 37. Warszawa, dnia 15 (3) Września 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. **7**.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Na wiosnę. — Żelazne prawo III. p. W. Wścieklicę. — Powieść o Janku szewckim synie p. J. S. Wierzbickiego.— Walka ras II. p. A. J. Cohna. — Z Galicyi p. Rewerę. — Teka Nieczui IV. p. J. Z. — Głos francuski o wyprawie wiedeńskiej II. p. K. T.—Liberum veto p. Posła Prawdy.—W perspektywie p. Maryana Bohusza.—Tydzień polityczny.—J. Turgeniew (nekrolog).—Cudze głosy.—Kronika bieżąca.—Ofiary.—Od administracyi Prawdy.—Ogłoszenia.

Prosimy szan. abonentów naszych o wczesne zapisywanie się na kwartał czwarty dla uniknięcia opóźnień w przesyłce pisma.

NA WIOSNĘ.

Nie zapisujemy chronologii szybko zmieniających się domysłów dziennikarskich i nie przechowujemy wszystkich rulonów papieru, które się przez nasze ręce przewijają, nie możemy więc czytelnikom przytoczyć wszystkich dat, w których już wojna wybuchnąć miała i—nie wybuchła. W roznoszeniu tej wieści pismo nasze staje zwykle na szarym końcu, bo obserwacya nauczyła nas, że obawa międzypaństwowych starć jest uczuciem, rozdmuchiwanem zwykle niezależnie od rzeczywistości. Potrzebna ona jest gazetom dla przyciągania prenumeratorów, potrzebna giełdziarzom dla spekulacyj finansowych, potrzebna politykom dla osiągnięcia lub zakrycia swych celów, potrzebna wreszcie milionom niezadowolonych, którzy chcą burzą oczyścić duszne powietrze. Wszystkie te potrzeby, sprzymierzywszy się razem, wytwarzają i karmią widmo „bliskiej wojny," od którego nie jest wolną ani jedna chwila w życiu Europy i które ciągle niknie w chmurach przyszłości.

Rok bieżący nietylko nie odżegnał się od tej mary, ale nawet straszy ona w nim ludzi bardziej, niż kiedykolwiek. Jak dalece zaś upior ten jest dotąd nieuchwytnym, dość powiedzieć, że nikt nie przepowiedział jeszcze, kto z kim bić się będzie. Próbowano zagadkę rozwiązać wnioskiem z zawieranych przez ks. Bismarka sojuszów, ale, niestety, jeżeli około niemieckiego magnesu oblepiać się będą dalej opiłki z tą samą gotowością, co dotychczas, niedługo cała Europa stanie się ściśle spojonem i zbrojnem ciałem — bez nieprzyjaciela! Już dziś związana liga nazwą swą przypomina słynne, niemożliwe do wymówienia jednym tchem tytuły fabryk niemieckich lub imiona związków chemicznych. Wszakże mamy przymierze: niemiecko-austryacko-włosko-serbsko-rumuńsko-hiszpańskie, do którego, według ostatnich wróżb, mają się przyłączyć nowe ogniwa: angielsko-rosyjsko- może francuskie?

Bo przecież dyalog prasy francusko-pruskiej, po chwilowej utarczce, przynosi nam zapewnienie, że obie strony pragną żyć z sobą w najprzyjaźniejszej zgodzie, jednocześnie zaś gazety niemieckie zapowiadają nowe „spotkanie," które bratnią rodzinę państw znacznie pomnoży. Ale przypuściwszy nawet, że ks. Bismark nie zgarnie całej Europy do swego worka, że wytworzy systemat państw sprzymierzonych przeciw innym, to — przeciw komu? Napomykano o Francyi i Rosyi, ale zarazem dzienniki „dobrze poinformowane" zaprzeczyły przepowiedniom. „O co my mamy bić się z Niemcami?" — pytają *Moskowkija Wiedomosti* i nie mogą wynaleźć żadnego punktu spornego, prócz słynnej „intrygi." Ponieważ zaś owa intryga jest wschodniem „hep! hep!" więc powodu brak.

Nas uderza przedewszystkiem jeden charakterystyczny fakt. Ks. Bismark (który pozostaje ciągle reżyserem głównym scenery politycznej) w poprzednich swych działaniach dowiódł, że gromy przygotowuje cicho, zręcznie, ukradkiem, myląc najczujniejszą uwagę. Czyż miałby w tym roku zmienić swoją taktykę i rozhałasowywać zamiary? Nie wydaje nam się to ani prawdopodobnem, ani zgodnem z naturą przebiegłego polityka. Więc pocóż opancerza się tyloma sojuszami? Może najsłuszniejszą odpowiedź na to pytanie dała jedna z gazet francuskich. Według niej, krótko mówiąc, kanclerz niemiecki nie straszy, ale boi się. Nie myśli on wcale (przynajmniej teraz) o nowych zdobyczach, ale o ubezpieczeniu się, o roztoczeniu naokoło swego państwa grozy, któraby przypuszczalnym nieprzyjaciołom odebrała odwagę do napadu. Ma dosyć i więcej nie pragnie, ażeby zaś inni złączonemi siłami nie zechcieli podważyć niemieckiego gmachu, otacza się szańcem aliansów i uszczupla liczbę możliwych wrogów. Dlatego właśnie umowy swoje przeprowadza z taką jawnością i hałasem.

Tyle domysłów narodziło się po to jedynie, ażeby im fakty kłam zadały, że i ten nowy może stanąć obok innych, zwłaszcza że wygląda dość wiarogodnie.

Bądź co bądź, to jest pewnem — i na tem poprzestaniemy — że „bliska wojna," która tak drażni umysły, dotąd nie zbliżyła się o tyle, ażeby można było rozpoznać mające walczyć w niej strony i że dzienniki zaczynają pomału odkładać ją „na wiosnę." Jest to ozdoba każdej jesieni, żółty liść spadły z bujnego drzewa dziennikarskiej imaginacyi. Wiosną i latem przepowiada się „wojna bliska," jesienią i zimą — „na wiosnę." Tak było i będzie zawsze. Nieskończoną ilość razy niesprawdzona a prawdopodobna przepowiednia ostatecznie kiedyś ziścić się musi, nie przeczymy więc, że „na wiosnę" przyszłą może przygotować się jakiś wybuch, najpewniej w niewskazanym dotąd miejscu; tymczasem jednak mamy przed sobą tylko chroniczną i starą groźbę (czy nadzieję), na którą nie stawiać nie warto, prócz cierpliwości. Zamiast więc durzyć się zmysłeniami, czekajmy... wiosny.

Żelazne prawo.

III.

„Zauważcie dobrze moje słowa, panowie — woła do robotników apostoł stowarzyszeń produkcyjnych z kredytem państwowym *). Być może, że niezbędne minimum środków istnienia, a skutkiem tego i położenie klasy robotniczej, gdy je porównywać będziemy od jednego pokolenia do drugiego, podniosło się cokolwiek. Jeżeli to w samej rzeczy nastąpiło, jeżeli rzeczywiście sytuacya klasy robotniczej całkowicie i stale polepszała się w ciągu wieków — przedstawia to kwestyę bardzo trudną, bardzo złożoną, wymagającą zbyt wiele nauki, ażeby ją zdolni byli rozwiązać, bodaj w przybliżeniu, ci, co starają się was zabawić opowiadaniem, jaka była cena bawełny w wieku zeszłym, a ile materyj bawełnianych zużywacie dzisiaj, i uciekaniem się do innych podobnych komunałów (*Gemeinplätze*), które można znaleść w pierwszym lepszym podręczniku..."

„Gdy mówicie o położeniu klasy pracującej i o polepszeniu swego losu, macie na myśli swoje położenie w porównaniu z sytuacyą waszych współobywateli dzisiejszych, a więc w porównaniu ze skalą zwyczajów w czasie obecnym. A tu was chcą zabawić mniemanemi porównaniami waszego położenia z położeniem robotników w wiekach ubiegłych..."

„Każde zadowolenie ludzkie zależy zawsze i jedynie od stosunku środków do potrzeb, które się stały zwykłemi w danym czasie, lub, co na jedno wychodzi, od przewyżki środków po nad najniższą granicę zwykłych potrzeb w tym czasie. Każde podniesienie się minimum zwykłych potrzeb przynosi z sobą cierpienia i braki, których czasy dawniejsze nie znały. Jaki brak odczuwa botokuda, nie mogąc sobie kupić mydła? — dziki ludożerca, nie mając przyzwoitego odzienia? Jakiego braku doznawał robotnik przed odkryciem Ameryki, nie mając tytoniu do palenia? Jaki brak odczuwał przed wynalezieniem druku, nie mogąc nabyć pożytecznej książki?.."

„Wszelkie cierpienie, tak samo jak i wszelkie zadowolenie ludzkie, a więc również i położenie każdej części ludzkości może się mierzyć tylko za pomocą porównania z położeniem, w jakiem się znajdują inni ludzie tego samego czasu, w stosunku do zwykłej skali potrzeb życiowych. Położenie każdej klasy ma zawsze za jedyną miarę położenie innych klas w tym samym czasie."

„Gdyby nawet było dowiedzione, że poziom koniecznych warunków życia podniósł się z biegiem wieków, że zadowolenia, wprzód nieznane, stały się potrzebami zwykłemi — gdy z niemi przybyły braki i cierpienia również dawniej nieznane — ludzkie wasze położenie pozostało tem niemniej jednakiem, a mianowicie: polega ono na wahaniu się (*herumzutanzen*) około ostatecznej granicy zwykłych potrzeb życia w każdym czasie, to wznosząc się cokolwiek po nad tę granicę, to pozostając cokolwiek niżej."

„Wasze położenie, jako ludzi, pozostało więc jednakiem, gdyż ono nie mierzy się za pomocą porównania z położeniem zwierzęcia w dziewiczym lesie, lub negra afrykańskiego, ani niewolnika z przed lat dwustu, lub bodaj nawet — ośmdziesięciu. Ma ono za miarę tylko położenie innych klas w czasie, w którym wy żyjecie."

Któż nie przyzna, że we wszystkich tych zdaniach Lassalle'a zawiera się pewna doza prawdy... filozoficznej? Lecz czyż moglibyśmy pogląd jego przyjąć za probierz w ocenie polepszania się bytu klasy robotniczej z postępem cywilizacyi? Chyba nie! Bo gdybyśmy go w tym charakterze przyjęli, to chociażby nawet wszyscy robotnicy bez wyjątku cieszyli się jak największym dostatkiem, chociażby wszelkie prawdziwe potrzeby swoje bez zbytecznego wysiłku zadawalać mogli, jeszcze zmuszeni bylibyśmy uznać panowanie „okrutnego żelaznego prawa" płacy roboczej, gdyby ona tylko nie wystarczała na utrzymanie pałaców, karet, koni wyścigowych itp. zbytków, na jakie pozwalać sobie mogą niektórzy praconabywcy. Tak postawionej tezy zbić niepodobna, lecz sądzę, że gdy idzie o zbadanie prawdy, tak jej stawiać nie wolno. Puszczając w ten sposób wodę naciąganych określeń i ironicznych zapytań na pożądany młyn, ażeby sobie oszczędzić trudu walczenia faktami, Lassalle wywinął tylko filozoficznego koziołka, który nikogo przekonać nie potrafi, kto gwałtem przekonanym być nie chce. A jednakże pomimo to z jakąż wyniosłą pogardą odzywa się o „tych," co zbieraniem historycznych i statystycznych danych „starają się bawić" robotników, z jaką śmieszną nadętością mówi o swej wyższości naukowej nad tymi pigmejami, z jaką pewnością siebie udziela ostrzeżeń i rad swym prostaczym przyjaciołom, których brak wykształcenia zmuszał do pochłaniania słyszanych dziwów z otwartemi usty, nie pozwalając im zastanowić się nad niemi krytycznie.

Poznajmy te rady nieomylne.

„Powinniście przedewszystkiem — poucza on robotników — wyryć głęboko w swej pamięci to okrutne prawo żelazne i nie rozstawać się z niem nigdy w żadnej ze swych myśli. Przy tej sposobności mogę wam podać — wam i całej klasie robotniczej — nieomylny środek uniknienia raz na zawsze wszelkich oszustw i mistyfikacyj. Każdemu, kto wam mówi o polepszeniu losu pracowników, powinniście przedewszystkiem postawić zapytanie: czy uznaje on to prawo, czy nie. Jeżeli go nie uznaje, powinniście z góry sobie powiedzieć, że człowiek ten albo was chce oszukać, albo też grzeszy godną pożałowania nieznajomością nauki ekonomicznej, gdyż nie ma, jak wam to już powiedziałem, nawet w szkole liberalnej ani jednego ekonomisty, cieszącego się pewnem imieniem, któryby przeczył temu prawu. Tak Adam Smith, jak Say, tak Ricardo, jak Malthus, Bastiat *), jak John Stuart Mill, jednomyślnie uznają w niem prawdę. Panuje w tym względzie zgoda zupełna pomiędzy wszystkimi ludźmi nauki. A jeżeli wasz rzecznik, rozprawiający z wami o położeniu robotników, na wasze pytanie, uzna raz to prawo, wtedy postawcie mu inną kwestyę: w jaki sposób chce on odnieść nad niem zwycięstwo? A gdy nie potrafi wam nic na to odpowiedzieć, odwróćcie się spokojnie od niego — jestto próżny gaduła,

*) *Offenes Antwortschreiben an das Central-Comite zur Berufung eines allgemeinen deutschen Arbeitercongresses zu Leipzig.*

*) Co do Bastiata, niestety, wiedza zawiodła uczonego agitatora. Widocznie, przeglądając pobieżnie *Harmonie ekonomiczne* spotkał się on na początku rozdziału o płacy roboczej z warunkowem przyzwoleniem na pesymistyczne twierdzenia w tym względzie dawniejszych ekonomistów i wziął je za bezsporną zgodę z niemi. Tymczasem w dalszym ciągu swych rozumowań Bastiat zaprzecza stanowczo słuszności wszelkim podobnym twierdzeniom i wygłasza zbyt nawet optymistyczne poglądy na tę sprawę.

---

[5])

POWIEŚĆ O JANKU
SZEWCKIM SYNIE

przez

J. S. Wierzbickiego

V.

Po nieco chłodnej i wilgotnej wiośnie nastały ciepłe dni letnie; na polach złociły się i srebrzyły zboża ozime, przeplatane zielonością jarzyny. Słońce błyszczało wysoko na bezchmurnem niebie, roztaczając ciepło dokoła. Dokoła unosiła się woń balsamiczna z lip przy drodze i z kwiatów na łąkach pozarzecznych.

Na ulicach Zacofanego wrzało: był to dzień święta. Ks. Jacek, mówca znakomity, miał wystąpić z kazaniem. Parafianie śpieszyli do kościoła i trochę się zebrało ludku pobożnego z okolicy i nawet jaśnie wielmożni dziedzice raczyli tłumnie zjechać.

Janek dnia tego, wstawszy z rana, w przenoszonej koszulinie, pobiegł sobie do ogrodu, myśląc, że tatulo pójdą do miasta, a on sobie wtedy będzie czytał z bardzo interesującej książki, którą dostał od panny Agaty, co to... na siostrę do ks. Jacka przystała. A czytał pomału, zwyczajnie jak samouczek, bo Wojciech już go nie chciał kształcić, tak mu natarła uszu za tę naukę żona. Położył się więc na trawie pod lipą i patrzał w słońce, co złociło się z poza gęstych gałęzi. Lipa świeżo rozkwitła i czasem, gdy powiał wietrzyk, rzucała na głowę chłopca wonne kwiatki. W górze na niej coś grało. Zielone babki i złote pszczoły latały błyszczące, niby gwiazdy. Czasem w tym chórze bzyknął bąk, przelatując z chyżością dokoła, lub zahuczały ogromne szerszenie i trzmiele. Jankowi się zdało, że słyszy jakąś muzykę niebieską i marzył, wyciągając na trawie członki, grzejąc się na słońcu. Czasami tylko cofał rękę przestraszony, ujrzawszy koło niej jakiegoś czarnego żuka lub mrówkę. W tem wbiegł do ogrodu Wojtek i pociągnął go za uszy.

— Wstawaj bekso, tatulo wołają!

— A bo co?!

— Pójdziemy do kościoła.

— Do kościoła? — szepnął mały — może brać miarę z kogo na buty?

— Głuptasiu, a któż w kościele bierze miarę?

Ubrał się Janek w czystą bieliznę i poszedł z ojcem i braćmi. U wrót kościelnych ujrzał gromadkę dziewcząt wiejskich. Jedna z nich, którą Andruch pozdrowił grzecznie, spojrzała takiemi oczyma, iż małego aż dreszcze przeszły; a była bardzo urodziwa, tak iż chłopcy ją otaczali dokoła, a jakiś biały i wysoki coś jej szeptał na ucho.

W kościele lud się modlił pobożnie i dokoła widać było głowy kmiece, kornie schylone ku ziemi. Na wschodach bocznych ołtarzy siedziało lub klęczało liczne grono pań i panien. Panny Kąkolewskie, Łopuszyńskie. Głogowskie i Chwastowskie robiły właśnie przegląd wzajemny swojej toalety i trzymały tylko książeczki dla formy, zerkając czasem oczyma na ks. Amora, młodego wikarego, co odprawiał solenną sumę, śpiewając głosem melancholijnym i rzucając na parafianki mętne spojrzenia. Wiktorya i Albina oraz inne stare panny — a było ich tyle, iż suma lat wynosiła całą erę chrześciańską — stanęły już blisko ołtarzyków i rzucały niechętnym wzrokiem na młodsze panny z okolicy, które również okazywały chęć zdobycia ołtarzyków... Starsi panowie i panie w ławkach zatopili się w modlitwie. Sam Andruch zasiadł w jednej z ostatnich ław, a koło niego mały Janek, który z zajęciem przysłuchiwał się dźwiękom organów. Grał na nich Wojciech, patrzący groźnie na Andrucha, któremu ukradkiem pokazał pięść. Wszyscy ucichli. Ks. Jacek, wstąpiwszy na ambonę i przeżegnawszy

który pustymi frazesami chce oszukać i złudzić was, lub siebie samego.“

Na tej to podstawie Lassalle potępił wszelkie instytucye (z wyjątkiem, naturalnie, proponowanych przez siebie stowarzyszeń produkcyjnych z kredytem państwowym), dążące do polepszenia w miarę możności bytu robotników i zabezpieczenia ich od ostatecznej nędzy w razie nieprzewidzianych wypadków losowych, mogących ich pozbawić na pewien czas zarobku; na tej podstawie wyklął stowarzyszenia Schultze-Delitzscha i odwrócił od nich robotników niemieckich z wielką, bądź co bądź, dla nich samych szkodą; na tej też podstawie dzisiejsi jego zwolennicy potępiają w czambuł wszelkie starania ludzi dobrej woli, mające na cele poprawę bytu klasy roboczej, jeżeli tylko nie dążą one do dokonania radykalnego przewrotu w ustroju społecznym. Ponieważ i u nas już dają się słyszeć zdania, w tym duchu głoszone, przeto postanowiliśmy umyślnie pomówić obszerniej o tym przedmiocie, żeby ostrzedz opinię przed powzięciem błędnych mniemań.

Zarozumiałość Lassalle'a w tym względzie — pomimo wszelkich zasług, jakie położył on dla robotników niemieckich przez wywołanie wśród nich swym wpływem poczucia solidarności i potrzeby oporu przeciwko wyzyskiwaczom, oraz bacznego pilnowania swych interesów na drodze prawnej za pośrednictwem swych przedstawicieli w parlamencie — przyniosła im niewątpliwą szkodę. Bo nie mówiąc już nawet o tem, że takie na przykład stowarzyszenia konsumcyjne pozwalają członkom swym żyć cokolwiek dostatniej, niż nienależącym do nich przy tych samych funduszach, a kasy oszczędności i zaliczkowe chronią swych uczestników od głodowej śmierci, lub co najmniej — konieczności udania się do żebraniny w razie braku zajęcia, winniśmy zwrócić uwagę na to, że instytucye podobne, ułatwiając robotnikowi zabezpieczenie sobie bytu na czas pewien, bodaj nawet bardzo niedługi, zmniejszają do niejakiego stopnia jego zależność od praconabywcy i dają mu tym sposobem możność stawienia pewnego oporu przeciwko wyzyskiwaniu. Robotnik, niemający nic oprócz swych dziesięciu palców, musi się zgodzić na wszelkie warunki, jakie mu przedstawi przedsiębiorca, bo inaczej umarłby z głodu; podczas gdy posiadający jaki taki zasób pieniężny, może poczekać pewien czas, póki sobie nie znajdzie pracy korzystniejszej. Bezwątpienia, sumy tak niewielkie, jakie mogą sobie zaoszczędzić robotnicy niższego rzędu, nie mogą wystarczyć na długo i dlatego nie mogą znieść zupełnie przewagi ekonomicznej praconabywcy nad pracownikiem, ale tem nie mniej zmniejszają cokolwiek tę przewagę i wpływają z biegiem czasu stale, acz powolnie, na podniesienie ceny pracy. Za dowód słuszności tego twierdzenia może posłużyć fakt, że w krajach, których ludność odznacza się przezornością, jak np. i nadewszystko we Francyi, której klasy pracujące słyną ze swego zamiłowania do robienia oszczędności, płaca robocza stale się podnosi w ostatnim wieku. Kasy oszczędnościowe oddają, zdaniem mojem, francuskim robotnikom tę samą usługę, co *Trades-Unions* — angielskim.

Na zakończenie krytyki poglądów Lassalle'a dodajmy jeszcze, że, jakeśmy to już nadmienili na początku rozprawki niniejszej, gdyby rozkrzyczana przez niego formuła Ricarda, lub dokładniej rzecz biorąc, służące mu za podstawę prawo Malthusa zawierało w sobie prawdę, w takim razie, zarówno proponowane przez Lassalle'a stowarzyszenia produkcyjne z kredytem państwowym, jak i wszelkie inne instytucye i reformy społeczne. na nicby się nie zdały. Bo w miarę, jakby, dzięki im. podnosił się dobrobyt ogółu ludności, rosłaby dotąd przyśpieszonym ruchem jej liczba, dopókiby nie zabrakło środków pożywienia i nie nastąpiła ogólna nędza. A dla usunięcia tej smutnej możliwości podobno zwolennicy niemieckiego apostoła socyalizmu nie zechcieliby się zgodzić na ograniczenie swobody wstępowania w związki małżeńskie i wyjęcie z pod opieki prawa dzieci nielegalnych, jak to zalecał uczynić ksiądz Malthus, bo byłaby to z jednej strony — niewola, z drugiej — nieludzkość. Socyaliści nie do takich pono dążą ideałów!

Więcej ludzki od swego mistrza uczeń Malthusa, John Stuart Mill, przypuszczał wprawdzie, że uciekać się do tak radykalnych środków niepotrzeba i że na rozpowszechnienie t. zw. *moralnej wstrzemięźliwości* wpłynie podniesienie się poziomu oświaty wśród ogółu i rozszerzenie się zamiłowania do dobrobytu wśród klasy roboczej, a nadewszystko z dobroduszną naiwnością (proszę mi wybaczyć użycie takiego wyrażenia w stosunku do godnego czci człowieka) wielkie pokładał nadzieje w sile charakteru i skromności — kobiet. Ja jednak ośmielam się przypuszczać i sądzę, że łaskawe czytelniczki podzielą moje zdanie (przynajmniej w duchu), że działalność ich w tym względzie ograniczyłaby się co najwyżej do oddania się pod opiekę Maryi Panny i odmawiania do niej co wieczór znanej modlitwy dowcipnych paryżanek:

Sainte Vierge, Marie, vous que vous avez conçu sans pécher, faites que je puisse pécher sans concevoir!

Pocieszmy się jednak przypomnieniem, że nietylko nadzieje, ale i obawy Milla są zupełnie płonne, gdyż fakta nie potwierdzają bynajmniej prawa Malthusa.

W. Wścieklica.

Walka ras.

II.

Każdy silniejszy pierwiastek etnologiczny czy socyalny dąży do wyzyskania ku celom swoim pierwiastku słabszego. Oto jest prawo nieubłaganie i powszechnie wśród rozwoju ludzkości obowiązujące, oto jest klucz do rozwiązania zagadki przyrodzonego przebiegu historyi. Gromady ludzkie, znajdujące się w stanie dzikości, owładają innemi nie inaczej, jak przez urządzanie formalnych na nie obław, przez mordowanie i spożeranie ich członków. Najprawdopodobniejszem też jest, że początkowe ubywanie niezliczonej mnogości różnorodnych szczepów ludzkich, pierwsze ich „wymieranie“ urzeczywistniło się na tej drodze. Na późniejszym szczeblu rozwoju zyskuje uznanie zasada, że lepiej jest spożytkować żywioł społeczny obcy w oddawanych przezeń usługach. Silniejszy więc stara się opanować słabszego i ciągnąć korzyści z jego pracy. Jeżeli mu się to udaje, wtedy pomiędzy różnoszczepowymi pierwiastkami powstaje stosunek zwierzchniczy — niewolnictwo i „poddaństwo. Powodzenie tu wszakże zawisłem jest jeszcze od natury pierwiastku słabszego, który może wprawdzie nie mieć dosyć siły, żeby odeprzeć przemoc, ale znów nie jest tak bezsilnym, żeby dobrowolnie uległ. W tym wypadku dwojaki może zrodzić

---

się, zaczął kazanie. Mówił o wielu rzeczach a zwłaszcza o literaturze niemieckiej.

Andrzej słuchał w pobożnem skupieniu duszy choć mu koło nosa brzęczała jakaś nieznośna mucha, która postanowiła studyować geograficzne położenie jego twarzy, ale pobożny nasz szewc nawet wąsem nieruszył.

Tymczasem ks. Jacek, patrząc szewcowi w oblicze, wołał: światła! (Andruch myślał, że zgasły świece), jak najwięcej światła! wiedzy, jak najwięcej wiedzy! Wreszcie zakończył: „W Niemczech był wielki człowiek, całe życie się uczył, a jednak w godzinę śmierci zapragnął jeszcze nauki, bo zawołał, konając: światła! Ten człowiek nazywał się Goethe. Amen. Na intencyę kościoła proszę zmówić trzy Ojcze nasz, trzy Zdrowaś Marya i jedno Wierzę w Boga.“

Po nabożeństwie Janek poszedł z ojcem do domu; w drodze spotkali znowu też samą urodziwą dziewuchę, która pokraśniała, spojrzawszy na szewca.

— Widziałeś ją mały? — pytał Andrzej syna.

— Albo co tatu!?

— To będzie twoja nowa mama!

— Ja nie chcę nowej mamy — zapłakało dziecko — ja się poskarżę matuli, co na cmentarzu!

Zrobiło się staremu strasznie markotno, kupił malcowi piernika, aby nie szedł na skargę do matuli.

Raz był wieczór uroczy, ciepły, promienny, taki, jaki się zdarza w naszym kraju, aby wynagrodzić nas za chłody zimowe i słoty jesieni. Janek wybiegł za miasto na pole. Zboże już dojrzewało, niwy kłaniały się pełnymi kłosami, bławatki i maki polne wpraszały się gwałtem do wianka a groszek polny plątał się o nóżki Jaśkowe. Słychać było ostatnie śpiewy skowronka a pierwsze wieczorne rozmowy przepiórek na miedzy. Słońce zachodziło, mając na czole fantastyczną koronę złotych i różowych obłoczków. Na drodze widać było pyły, unoszące się ku górze: wracały tam krowy z ugoru, brzęcząc dzwonkami, kozy ucieszne dokoła skakały, kiwając humorystycznie bródkami, owce beczały rozpaczliwie, a gromadka pasterzy biegała na wszystkie strony, aby skupić niesforne stadko, zwłaszcza młodociane okazy nierogaciny krajowej, niemające wcale wyobrażenia o prawach cudzej własności.

Janek szedł z książką w zanadrzu do swojej szkoły, gdzie miał zwyczaj przesiadywać do zmroku. Szkołą tą była ustronna, leżąca o parę staj od miasta dolinka, między skałami, gdzie strumień roztaczał kryształy, ocienione gałęziami zielonych brzostów i leszczyn. Tam Janek zasiadł na zrębie skały i przyglądał się w lusterku sinej fali. Zdaleka przyleciały gołębie i zaczęły się pluskać w wodzie, której dno złocił piasek miękki; czasem coś na głębszej toni plusnęło, to rybka błysnęła skrzelką i rozbiła wodę na tysiączne srebrne kółka. Niebo ciemno-lazurowe odbijało się w głębiach wodnych, niby tło obrazka, na którem jaśniała chmurka niewielka, co słońcu blaski zachodnie odkradła. Było cicho dokoła. Zdawało się, iż gwar życia omijał tę oazę błękitnych wód i świeżej zieloności... Tylko fala niesforna kłóciła się z nadbrzeżnym piaskiem, unosząc jakiś spadły z drzewa listek, na którym usiadł komar i żeglował w dal...

Janek wyjął z zanadrza ostrożnie książkę... swoją zbrodnię, przyczynę własnej niedoli (tę samą, którą dostał od panny Agaty). Był to znakomity płód naszej literatury—zacna Szlachecka Kucharka. Janek czytał ją pomału, cedził wyrazy i kraśniał. Oszukał baczność taty i braci. tu mógł sylabizować słowa i przysłuchiwać się dźwiękom własnego głosu. Mając taką książkę, musiał być wdzięczny szczęśliwym losom, musiał dziękować Bogu, że się urodził w kraju, gdzie jest tyle książek elementarnych, gdzie tyle jest serc ofiarnych dla ludu, gdzie rzadki widok nędzy umysłowej wywołuje łzę gorzką w źrenicy każdego dobrego człowieka. Czytał, czytał, nie słysząc szelestu kroków kilku zbli-

się stosunek. Albo takie są warunki, że szczepy różnorodne uważają dla siebie za korzystne zawrzeć przymierze i łącznie podbijać plemiona słabsze; albo znów pierwiastek silniejszy opiera się zjednoczeniu, na które często słabszy zgodzić się nie chce, że zaś pierwszy z jakiejbądź przyczyny ostatniego pod jarzmo swe zagarnąć nie może, więc usiłuje go wytępić.

Tak zwana historya świata jest jednym wielkim zbiorem przykładów, służących na potwierdzenie uwag powyższych.

W znaczeniu ściśle przyrodniczem nie ma dziś ras. Mianem tem jednak niewątpliwie określać można wszystkie różnorodne grupy etnologiczne lub społeczne, nawet te, które znajdując się w ciągłej ze sobą walce, są zarazem działaczami w procesie dziejowym. Rasa bowiem jest jednością, wytworzoną w ciągu wieków, w rozwoju społecznym i wśród niego, jednością, która punkt wyjścia dla siebie znajduje w objawach duchowych (języku, religii, obyczajach, prawie, cywilizacyi itp.) i od nich dopiero dochodzi do najpotężniejszego objawu fizycznego, prawdziwego cementu, co ją spaja — do jedności krwi.

W miarę stopnia więc, w jakim różnorodne jedności etnologiczne przez większą lub mniejszą ilość cech wspólnych, umysłowych, czy fizycznych, więcej lub mniej do siebie są zbliżone, albo też całkiem są sobie obce, w miarę stopnia tego istnieją większe lub mniejsze sprzeczności rasowe. I najmniejsza sprzeczność w tej dziedzinie wystarcza, żeby wywołać starcia i walki. Większe lub mniejsze zbliżenie wiodących je ras nic w naturze walk tych nie zmienia. Te ostatnie bowiem mają sobie tak właściwą, przemożną naturę, szczególne swe prawo, które zawsze i wszędzie z siłą nieprzepartą narzuca się walczącym i sprawia, że wszelkie starcie różnorodnych pierwiastków etnologicznych i socyalnych przybiera kształty walki rasowej.

W tem znaczeniu autor nasz stosunki i wzajemne oddziaływania na siebie różnoszczepowych związków i grup społecznych określa jako „walkę ras“ i w niej widzi istotę całego procesu historycznego. Istota tej walki, rodzaj i sposób jej przebiegu, jej znaczenie dla procesu naturalnego dziejów powszechnych, towarzyszące jej zjawiska i wreszcie rezultaty z niej — są przedmiotem dalszych rozdziałów pracy Gumplowicza.

Autor nie przestaje jedynie na wywodach teoretycznych, lecz trzecią blisko część dzieła (str. 267 do 346) poświęca ilustrowaniu, jak się wyraża, wywodów swych przykładami z dziejów powszechnych. „Pospolicie — powiada — odpowiednio do pojęć, wywodzących początek ludzkości z jednego ogniska twórczego, wyobrażano sobie też, że rozwój dziejowy wyszedł z jednej jedynej „kolebki“ kultury. Wszystkie tedy wykłady historyi otwierano zwykle jedną mniemaną kolebką tego rodzaju, którą, stosownie do okoliczności, stawiano bądź na łądzie stałym nad Gangesem, bądź też, co częściej się zdarzało, na wybrzeżach Nilu. Następnie o ile możności starano się z owego źródła pierwotnego jednolity prąd rozwoju historyi ludzkości wraz ze wszystkiemi jej rozgałęzieniami i rozszczepieniami aż do naszych doprowadzić czasów.“

Wrzeczywistości niepodobna dostrzedz epoki, choćbyśmy wzrokiem najdalej wstecz sięgnęli, w której historya ludzkości na *jednym* tylko wyłania się punkcie. Po przez mroki najbardziej zamierzchłej starożytności raczej widzimy przeświecające z wielu punktów jednocześnie liczne ogniska kultury. Z pomiędzy ognisk tych, z pomiędzy owych najpierwotniejszych pomników historyi ludzkiej wiekiem na pierwsze miejsce zasługuje Egipt. I tu jednak nie napotykamy właściwych początków rozwoju dziejowego, gdyż i tu historya najdawniejsza prowadzi nas od razu *in medias res*, ukazując nam kraj ten, jako arenę zapasów różnorodnych szczepów ludzkich, które już starożytne organizacye państwowe do zgodnego pożycia doprowadzić usilują, już i tu w najodleglejszej starożytności występuje na jaw mieszanina ludów, która każe przypuszczać tysiącolecia całe walk uprzednich i procesów zlepkowych.

Niemniej też pewnem się zdaje i to, że wśród owych walk tysiącoletnich i długich procesów amalgamacyjnych pierwotni mieszkańcy tej krainy w części znikli, w części pochłonięci zostali przez inne szczepy napływowe.

Cokolwiekbądź, ludność ta stworzyła owe olbrzymie pomniki budownicze, które i obecnie wzbudzają podziw wędrowca. Ale i dla twórców piramid wybiła ostatnia godzina. Panowaniu ich położyły kres rozliczne plemiona koczownicze, które od wschodu napadły na Egipt. I tych przybyszów jednak władztwo runęło, od południa znów nowe do kraju wtargnęły żywioły, które, wziąwszy górę nad dawniej osiadłymi, niebawem na trzy części świata rozciągnęły swoje panowanie. Później Egipt z kolei stawał się prowincyą perską, macedońską i rzymską, a kraj, który kiedyś pod berłem władców potężnych ujarzmił tyle obcych narodów, w końcu sam stał się łupem zdobywców, na przemian wysysanym przez perskich, macedońskich i rzymskich satrapów, konsulów i ich towarzyszy.

I za dni naszych władztwo turków chyli się ku upadkowi, a po krainę Nilową Anglia pożądliwą wyciąga rękę i lordowie angielscy obliczają już, jakie z posiadania tej pięknej i żyznej ziemi na ojczyznę ich spłyną korzyści.

Sprężyną poruszającą to długie, przez wiele lat tysięcy ciągnące się pasmo dziejowe jest wieczna walka o panowanie, jednej rasy z drugą, a rezultatem tej walki jest nieustający proces amalgamacyjny. Wieczna ta walka zmniejsza liczbę ras i zwycięzcom coraz szersze zapewnia dziedziny. Zdaje się, jakoby niewzruszone prawo naturalne ku całkiem innym dążyło celom, aniżeli krótkowidzące usiłowania ludzkie.

W ten sam sposób, pełen bystrych poglądów i wniosków racyonalnych, autor przebiega dzieje Babilonu, Asyryi, Medyi, Persyi, Indyj, Chin, fenicyan i żydów, oraz podaje ogólny rzut oka na historyą ludów, zamieszkujących Europę i Amerykę.

Powtarzanie tych wywodów, ani nawet ich streszczanie nie może oczywiście być zadaniem niniejszego sprawozdania.

To też, odsyłając czytelników do dzieła samego, które wedle nas ma wartość niepospolitą, ograniczamy się tu jedynie na zaznaczeniu ważniejszych zeń ustępów.

Godnem uwagi jest to, co Gumplowicz mówi o fenicyanach, przypuszczając, iż oni pierwsi przynieśli do Europy zarody organizacyi miast i wyjaśniając brak wszelkich wzmianek o nich w historyi nowożytnej. Zdaniem jego okoliczność ta jest następstwem kosmopolitycznego ducha tego ludu, który umiał zawsze przystosowywać się do warunków czasowych i miejscowych. „Jako naród mądry—powiada—fenicyanie potrafili zniknąć w czasie właściwym. Narodowej swej kultury nie cenili tak wysoko, iżby im nie zdawało się

żających się osób, co zamąciły ciszę doliny. Gdy tak zgłębiał treść owego ciekawego dzieła, zagrzmiał nad nim głos starego Andrucha:

— A tuś mi ptaszku mój!

Janek zadrżał. Zamarły mu na ustach słowa i ukrył książkę na bijącem sercu. Zerwał się, aby uciec.

— Łapcie tego urwisa! Hola! Wydrzeć mu książkę — wrzasnął szewc na Wojtka i Bartka, którzy z po za pleców jego wystąpili na wąskiej ścieżce, wijącej się po pochyłości skały. Chłopcy rzucili się na Janka, który zaczął silnie bronić swego skarbu i porwali go za bary; w końcu wszyscy upadli na ziemię i tarzali się w piasku, aż stary brał się za boki i krzyczał: „tęgo!“ Pochlebiało mu to, że mały tak dzielnie się bronił. Wkrótce dzieci wstały, prócz Janka, który leżał na ziemi, ciężko robiąc piersiami. Bartek ojcu doręczył łup, a Wojtek miał w garści trochę czupryny Jankowej. Szewc porwał książkę, podarł ją i zwolna zapalał jej karty, które wietrzyk z lekka unosił.

Bartek i Wojtek, patrząc na to widowisko, skakali i śmieli się, a Janek cichutko płakał — płakał nad swoją krzywdą, nad ciężką niedolą. Przypomniał sobie swoje sieroctwo, matulę, co śpi w zielonej mogile i czasem nawiedza go we śnie nocą, a ma tak dobre, tak uśmiechnięte oblicze, jak na wiosnę poranek, kiedy przy blasku gasnącym księżyca rostacza rumieńce jutrzenki.

Andrzej, myśląc, że jeszcze mało okazał powagi ojcowskiej, kopnął Janka nogą, aby wstał i śpieszył do domu, bo zaczęło szarzeć a na wschodzie ukazała się ciemna chmura, w której błyskało wciąż i grzmiało. Po drodze bracia jeszcze żartowali, a stary mrugał na nich zachęcająco, bez wyrzutów sumienia. Przecież on dziecku swemu dobrze życzył, przecież wiedział, że nie nauka, ale szewckie kopyto zapewni mu przyszłość.

A wiecie od kogo Andruch dowiedział się o przestępstwie syna? Od Bartka, który Janka raz dopatrzył, jak się w dolinę skradał... Bartek był z tego czynu niezmiernie dumny i chwalił się nawet przed chłopcami z sąsiedztwa, co niechętnie chodzili na naukę — do nauczyciela miejskiego.

Ponieważ Janek był uparty i nie przestawał czytać, więc szewc darł ciągle książki, a nawet przysiągł, że chłopcu kości połamie, jeśli... Tu znak uczynił na stole, a wszyscy zaraz zrozumieli, że to oznacza pisanie. I cicho było, niby makiem posiał, gdy Andrzej prawił o wielkich korzyściach szewctwa.

— Bo to słuchajcie, galgany! Sam pan Bóg krzywo się patrzy na hultaja, co chodzi bez butów. On stworzył różne bestye na to, aby przynosiły profit człowiekowi; a na cóż skóra końska, cielęca — hę? Może psom na buty? Hę?

Tu Janka skubnął za włosy, aż ten jęknął.

— Psom na buty!

— Zrozumiał, fizyk! — zaśmiał się szewc.

Chłopiec szył, przeciągał dratewkę, kłuł szydłem zawzięcie skórę, ale, niechno tatulo poszedł do karczmy, wybiegał na zielone pola, gdzie mógł zapomnieć o mieszkanku ciasnem, pełnem dziecięcych hałasów, gdzie się wsłuchiwał i w ptaków piosenki i w szumy wiatrów radosne. Wtedy lubił marzyć o matuli i o niebie, gdzie jej duszę anieli zanieśli, gdzie święci siedzą na łaskawym chlebie i chodzą kompletnie boso. Bo inaczej nie mógł sobie wyobrazić nieba, i jak widzimy, różnił się w tem od swego ojca, który noszenie butów podnosił niemal do stopnia dogmatu.

Były to chwilki dla Janka radosne, ale, niestety, krótko trwały. Bo oto właśnie kończyły się żniwa i Andrzej posłał Magdę w swaty do Wachowej córki.

(D. c. n.)

zbyt drogiem okupienie jej kosztem nienawiści i prześladowania ze strony społeczeństw sąsiednich. Rozpłynęli się wśród ludów, pomiędzy którymi zamieszkiwali i w ten sposób niezawodnie sumienniej (!) i trafniej spełnili zamiary naturalnego procesu dziejowego — jeśli tak powiedzieć wolno — aniżeli, jak gdyby z nieodpowiednią chwili i naturze uporczywością mieli „ocalać“ narodowość swoją dla późniejszych stuleci.“

Przewrotna ta i nienaturalna polityka *narodowa*, podług Gumplowicza, dostała się w udziale ludowi, który od początku pod niejednym względem poszedł za przykładem fenicyan, w szczególności zaś przyswoił sobie ich politykę handlową — żydom. Żydzi nie umieją — zginąć. Wśród nadzwyczajnego zaślepienia i nieprzełamanego uporu, wolą oni wciąż podsycać przeciwko sobie walkę rasową wszystkich ludów i społeczeństw, aniżeli przeżytą i strupieszałą narodowość swoją przynieść w ofierze rozkwitającej, świeżej kulturze innych krajów i czasów.

W owem bezwzględnem trzymaniu się dawno zawartych form kulturalnych leży ciężkie przewinienie przeciwko wielkiemu naturalnemu prawu historyi — przewinienie, za które krwawo pokutują tysiące pokoleń.

Zamykając uwagi swe o Europie, autor nasz do takich mniej więcej dochodzi wniosków.

Po wielu walkach i przewrotach we Włoszech, Francyi i Hiszpanii widzimy jedną rasę romańską, pomiędzy Alpami i morzem północnem z dawniejszego chaosu ludów zwolna powstawać zaczyna germańska, na europejskim wschodzie zaś kiełkuje myśl zgrupowania rasy słowiańskiej. Trudno sobie wytworzyć pojęcie, wiele jeszcze potrzeba będzie walk narodowych i powszechnych, zanim ułożą się trzy tak potężne światy cywilizacyjne, reprezentowane przez trzy wrogie sobie rasy, zanim w wojnach wzajemnych wypróbują i wyczerpią swe siły i zanim w miejsce różnych zakresów cywilizacyi romańskiej, germańskiej i słowiańskiej powstanie jeden jednolity obszar cywilizacyi europejskiej, jedna jedyna rasa europejska.

Tymczasem znów tam za oceanem z niezliczonych pierwiastków różnorodnych przed oczyma naszemi nowa urabia się kultura, nowa rasa amerykańska, a w przyszłości dalekiej świat niewątpliwie stanie się widownią walki rasowej pomiędzy Europą i Ameryką. I tak ciągle ludzkość wojująca toczy się po przestworach kuli ziemskiej. Naturalny proces społeczny dla nowych wciąż walk wciąż nowe tworzy rasy, coraz potężniejsze mieszaniny ludów i narodów, które coraz większe obejmują obszary i z coraz większem wyrafinowaniem prowadzą wzajemne wojny.

(D. n.)

Ad. J. Cohn.

Z GALICYI.

Lwów, d. 10 września.

P. Löbl. — Okólnik namiestnika do starostów. — Zwołanie sejmu. — Echa z za kulis o nowem ugrupowaniu się stronnictw. — Wystawa obrazów. — Występy panny Maryi Wisnowskiej.

Mamy już nietylko namiestnika, ale i zastępcę jego, p. Löbla. Jest to urzędnik w całem tego słowa znaczeniu — biurokrata czystej wody. Zresztą uczciwy niemiec, ale wpływu na zarząd naszej prowincyi, jaki posiadał np. za hr. Potockiego p. Zaleski, nie będzie miał, zdaje się, żadnego.

O nowym namiestniku trudno dotąd coś stanowczego powiedzieć. Jeżeli przecież zdawkowa moneta frazesów, zawartych w pierwszym jego okólniku do podległych mu władz, mianowicie starostów, może być uważaną za wyraz szczerego przekonania, sądzićby należało, że zastępca hr. Potockiego dosyć posiada chęci do wzięcia w opiekę interesów kraju i popierania rozwoju jego autonomii.

„Chciejcie panowie — mówi on — pamiętać o tem zawsze, że *władzu jest dla ludności*, i że wówczas swe zadanie spełnia, jeżeli słusznym potrzebom tej ludności zadość czyni. Do pierwszorzędnych obowiązków należy skuteczne popieranie ekonomicznego rozwoju kraju. Dążność ta winna się objawiać przedewszystkiem w harmonijnem współdziałaniu ze wszystkimi powołanymi do tego czynnikami, a głównie władzami autonomicznemi, żądam przeto, aby panowie starostowie jaknajżyczliwsze utrzymywali stosunki z temi władzami. Współdziałanie w tym kierunku nie powinno poprzestać na formalnej stronie i na samej uprzejmości we wzajemnych relacyach urzędowych, ale obowiązkiem jest panów starostów udzielać władzom autonomicznym swej pomocy, wnikać z własnej inicyatywy w potrzeby ludności, śledzić je bacznem okiem i spostrzeżeniami swemi dzielić się z temi władzami ”

Czy urzędowanie nowego namiestnika oprze się rzeczywiście na zaznaczonych powyżej punktach, niepodobna dziś wyrokować, chociaż powszechne jest mniemanie, że p. Zaleski nie tylko na urzędnika jest stworzony, ale że podoła w danym razie obywatelskiej działalności pokroju szerszego, od podpisywania aktów urzędowych. Program przystosowywania interesów kraju do interesów rządu, czy na odwrót, wypowie on bezwątpienia także i przy otwarciu tegorocznej sesyi nowej kadencyi sejmu, który już stanowczo zwołany zostanie na dzień 15 b. m.

Tydzień nas dzieli zaledwie od tej chwili a o ugrupowaniu się stronnictw w naszym prowincyonalnym parlamencie, o przyszłych pracach i walkach jego, ciemne jeszcze ciągle dochodzą przez dzienniki wiadomości do uszu szerszego ogółu. Atoli i prasa nie wiele więcej jest wtajemniczoną w te sprawy, chociaż około każdej redakcyi grupuje się pewne koło posłów. To tylko pewna, że dotychczasowy podział na stronnictwa ulegnie znacznym zmianom. Tworzą się dwie wielkie partye: prawdziwie konserwatywna i niby postępowa. Na pierwszą złożą się podolacy (wschodnio-galicyjska szlachta pod dowództwem Grocholskiego), stańczycy (znacie ich!) i figury *quand même* rządowe, jak np. starostowie, których spory zastęp wcisnął się tym razem do sejmu. Drugie stronnictwo rekrutować się ma z eks-stańczyków, t. z. secesyonistów, pod wodzą Męcińskiego i ateńczyków (południowo - galicyjska szlachta, musztrowana przez dwa rody książęce, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego i innych). Co uczyni z sobą dotychczasowy klub postępowy, czy zorganizuje się na nowo, czy też rozwiąże zupełnie i wejdzie w skład „niezawisłych“ — dotychczas nie wiadomo.

Tymczasem wydział krajowy porozsyłał już posłom część sprawozdań i projektów sejmowych. Z druków tych nie wiele zdołałem wybrać ciekawego. Pomiędzy wnioskami wyróżnia się przedewszystkiem projekt nowej ustawy o konkurencyi do kosztów budowli kościelnych, który sprowadzić może pewne ulgi dla przeciążonych podatkiem kościelnym. Z innych prac wydziału, jeszcze nie zupełnie wygotowanych, zasługuje na szczególniejszą uwagę projekt reformy ustawodawstwa szkolnego. Rzecz swoją opiera wydział krajowy na podstawie referatów komisyi edukacyjnej, wypracowanych podczas zeszłorocznej sesyi, ale w plenum izby jeszcze nieprzetrawionych.

Zdaje się być pewnem, że i tego roku zbraknie posłom naszym czasu do załatwiania wszystkich wniosków wydziału i rządu, tudzież prywatnych, tembardziej, że samo ukonstytuowanie się, wybór nowego wydziału krajowego, sprawdzenia wyborów poselskich, tworzenie komisyj i inne wstępne czynności zajmą bodaj czy nie połowę dni wyznaczonych na obrady. A nie wiele udzielała ich nam szczodrobliwość hr. Taaffego! Cała sesya trwać ma ze wszystkiem pięć zaledwie tygodni.

Z bruku zresztą niewiele mam do doniesienia. W świecie literackim niema nic nowego. *Ziarno* wlecze swój anemiczny żywot bez pieniędzy, współpracowników i prenumeratorów. Przybył mu tylko współzawodnik w *Przedświcie*, który dawniej na kresach bukowińskich (w Czerniowcach) mając pewną racyę bytu, tu ją zupełnie postradał. Książek wychodzi niewiele, po większej części przedruki.

Ze świata artystycznego mam zaś dwa zaledwie fakty do zanotowania: ubogą wystawę obrazów w gmachu teatralnym i w tymże samym budynku gościnne występy warszawskiej artystki, ale naszej sceny wychowanki, panny Maryi Wisnowskiej. Młoda ta artystka w ciągu paroletniego pobytu w Warszawie zrobiła postęp znakomity. Występowała cztery razy. Za każdym razem teatr był przepełniony, a publiczność zachwycona. Krytyka miejscowa przyjęła ją nader sympatycznie. Największe wrażenie wywarła panna Wisnowska *Tancerką* i Ireną w *Pięknej*. Dramatu Okońskiego widzieliśmy tylko dwa akty, o przedstawieniu zaś nie możemy pisać z powodu stosunku jego autora do *Prawdy*. *Tancerka* po pierwszem przedstawieniu została dzięki nieumiejącym ról artystom całkowicie potępioną. Drugie przedstawienie, które znacznie lepiej wypadło, przywróciło jej utraconą sławę.

Rewera.

TEKA NIECZUI.

IV.

Streszczamy dwa ostatnie listy *Teki* t. j. piąty i szósty. W pierwszym z nich zapisuje zaraz na wstępie p. Nieczuja, że „*chwali sobie* duchowieństwo nasze takiem, jak jest *dzisiaj* (?), a potępia tych wszystkich, którzy, czy to duchowni, czy świeccy, chcą je według *zagranicznych* (!) wzorów naprawiać“ — poczem występuje przeciw dwom ostatnim wędrówkom polskim do Rzymu, urządzonym przez stańczyków. Rzecz dziwna jednak, że nie chodzi mu o sam fakt tych bezcelowych i naiwnych spacerów — owszem, chciałby bardzo, aby „od czasu do czasu wybierali się nasi katolicy do Piotrowego grodu dla *ucałowania nóg* Namiestnika Chrystusa Pana.“ P. Nieczuję przyprawia o zły humor tylko to, że pielgrzymki takie powinny urządzać episkopaty, a nasi biskupi i prałaci winni im przewodniczyć. W ostatniej wędrówce — powiada — nie brakło nawet śmieszności. Pewien szlachcic, ubrawszy się w delię, z samego pierza utkaną, wyglądał jak piernat; „dobrze, że jaki sfatygowany kardynał spać się na nim nie położył.“ „Nuż dopiero ta Akademia, na której p. Tarnowski „z bezdennej lutni“ p. Szujskiego wydeklamował ów wiersz słodko brzmiący a zamaszysto omdlewający, na jaki się jeszcze żaden częstochowski poeta nie zdobył. Dziwna to ta „lutnia bezdenna:“

„Strzeliste przebojem sząca modlitwy,
„W ślad tych, co świątu stawali na stróży,
„W ordynku wojny, w rycerstwa obróży,
„Nie zdradą zbrojni, ale animuszem!“

„Jako polak — mówi Nieczuja — dziękuję Bogu, że tej deklamacyi nikt tam nie zrozumiał: niezaprzeczone bowiem miałby prawo mieć nas za najgłupszy naród na świecie, skoro profesor polski mógł taki wiersz częstochowski i bez sensu napisać a polski krytyk nie zawahał się go wydeklamować wobec reprezentantów prawie wszystkich narodów.“ „Kto dał stańczykom mandat do narażenia nas na takie błaźeństwo? Czy w tej Polsce niema już dzisiaj ani jednego poety? Gdzie tam! Ale żaden z poetów nie należy do stańczykowskiego obozu a w tym obozie jest już takie prawo, że wszystko, co zeń wychodzi. musi być przez własnych ludzi zrobione. Każdy z nich jest jako ów kowal na wsi, co to i konie okuje, i ząb wyrwie, i bańkę przystawi, a w razie potrzeby i brodę ogoli.“

Stąd dalej na polemicznym rumaku wjeżdża autor na bodyakami zarosłe pole, zwane klerykalizmem, kreśli jego dzieje i potępia jego zasady. Klerykalizm to roślina czysto francuska a urodzona z romantyzmu. Początku jej szukać należy w trzecim dziesiątku naszego wieku. Lamennais i Lacordaire, Montalembert i Fallou byli romantykami. Romantyzm, skłonny do egzageracyi i w swym duchu niosący nasiona fanatyzmu, rozdzielił się w czasie swego rozwoju na dwa odrębne prądy, z których każdy doszedł do ostateczności; z jednego wyrodził się klerykalizm, z drugiego — *socyalizm* (?). U nas, jakkolwiek niektórzy dziejopisowie utrzymują, że stronnictwo klerykalne istniało już podczas Królestwa kongresowego, niewątpliwą jest rzeczą, że pierwsze jego związki okazują się namacalnie dopiero po listopadowem powstaniu i zjawiają się jednocześnie na emigracyi, we Lwowie, w Krakowie i w Wielkopolsce. We Lwowie objaw ten był przelotnym, natomiast w Księstwie i w Krakowie duch klerykalizmu głęboko zapuścił korzenie. W Krakowie zastał już nawet grunt doskonale przygotowany, gromadzącymi się tam oddanwa żywiołami dowocyi i zrujnowanej arystokracyi. Jeszcze nie uspokoiły się zupełnie burze roku 1848, kiedy ideje klerykalne pod Wawelem ożeniły się z dążnościami politycznemi i urodził się z tego małżeństwa dzisiejszy *Czas*, mieszczący w sobie podówczas ludzi najróżnorodniejszych, z których żaden zosobna, ani też wszyscy razem nie wiedzieli czego chcą właściwie. Najbałamutniejszym z nich był niezawodnie, okrzyczany dzisiaj za jasnowidzącego, Aleksander Wielopolski, zmierzający ni mniej ni więcej, jak do federacyi słowiańskiej na gruzach Austryi, uważając ją za rozbitą bez nadziei ratunku. Helcel w sprawach politycznych, jeśli miał jaką myśl, to biorąc pióro do ręki, zawsze ją zgubił; Adam Potocki postępował jak niewidomy — Siemieński nakoniec, niedawno redaktor najskrajniejszego ze wszystkich pism emigracyjnych, *Pszonki*, śmiał się tylko z nich wszystkich i szydził w odcinku, zanim go ujeźdźono. Jedynym w tem gronie człowiekiem, który wiedział, czego chce, był Mann. Pisarz mniej niż miernych zdolności, niemający w własnem sumieniu żadnych przekonań, cynik, posuwający się w konwersacyi do ostatniego wyuzdania, wyszedłszy jednak ze szkół jezuickich w Fryburgu i zaciągnąwszy się do klerykałów w Paryżu, był tych wrogich dla kraju i moralności zasad doskonałym rzecznikiem. Niezmordowaną pracą i wytrwałością wybił się wkrótce ponad innych, utalentowanych, stał się głównym filarem *Czasu* oraz jednym z głównych wodzów klerykalnego stronnictwa w Krakowie, przeciw któremu niestety, prawdziwej opozycyi nie było. Nawet duchowieństwo nie stawiło oporu tej świeckiej hierarchii. Ksiądz biskup Łętowski lubo w tym lub owym salonie wjechał po żołniersku na kazania ks. Goliana, a czasem nawet w ferworze wprost wyrzucał kobietom, „że tylko popęd płciowy ciągnie je na konferencye tych młodych predykantów“ — to na tej admonicyi wszystko się kończyło. Wreszcie klerykalny obóz krakowski wzmocnił się nowem pokoleniem młodzieży, wychowanej pod jego skrzydłami, a która już w czasie swych nauk, odbywając zgromadzenia przy ulicy Gołębiej, od czego zwała się „Gołębiami“ znaną była nawet po za granicami kraju. Dzisiejsi fałszerze dziejów, potwarcy własnych ojców i dziadów, propagatorowie ciemnoty, lokajstwa i despotyzmu, to właśnie oni — gołębie...

Od klerykalizmu przechodzi Kaczkowski do działalności stańczyków na politycznem polu. Zapatrywania jego w tej kwestyi najlepiej określa zdanie, ze stańczykom „nawet *przypadkiem* nie udało się zrobić nic dobrego.“ Nie położyli oni *żadnej* zasługi zarówno w wewnętrznych, jak i zewnętrznych sprawach. „Potrafili tylko opanować pewne zakłady publiczne, jak wszechnicę Jagiellońską, Akademię, Towarzystwo rolnicze, Kasę oszczędności itp. i nie podnieśli wcale ani użyteczności, ani świetności tych instytucyj, tylko używają swych wpływów na nie w celu korumpowania swoich adeptów.“ Natomiast rzucają się złowrogo na każdy, pożyteczny dla kraju projekt i usiłują zgasić każdą myśl jaśniejszą. Dla przykładu dość wspomnieć o wystąpieniu przeciw oświacie ludowej i agitacyę przeciw „obesłaniu“ rolniczo-przemysłowej wystawy we Lwowie.

Zastanawiając się nad stanowiskiem polaków w Radzie państwa, autor jest słusznego zdania, że nasi posłowie nie powinni byli zawierać tam żadnego trwałego sojuszu; mając bowiem 60 głosów w Izbie, podzielonej prawie na dwie równe połowy między niemców i inne narodowości, mogli się zawsze utrzymać przy zaszczytnej roli rozjemcy a w danych wypadkach mocą swych głosów wykonywać urząd sędziego. Dotąd dobrze — ale dalej powiada *Teka*: „Jeżeli zaś już koniecznie chcieli szukać sojuszu w Radzie, to obowiązkiem ich było dać pierwszeństwo przed innemi narodowościami... niemcom!“ Oczywiście, że sojusz ten to dziwoląg, warto jednak posłuchać argumentacyi autora, która, bądź co bądź, jest ciekawą i nierzadko tkwi w niej ziarnko prawdy, Kaczkowski wie dobrze, iż „jego zdaniu bardzo wiele głosów się sprzeciwi: jedni dlatego, że niemcy reprezentują zasady liberalne, a drudzy z powodu narodowego wstrętu, który usiłują usprawiedliwić tem, że niemcy obok liberalizmu zdradzali zawsze dążenia centralistyczne i mniej albo więcej germanizacyjne.“ Co do liberalizmu „zresztą *bardzo* umiarkowanego,“ to ten mógłby być dla autora „tylko powodem do porozumienia się z niemcami, a nigdy przyczyną, dla której miałby się im przeciwstawić.“ „Ilekroć która z ziem polskich odetchnęła swobodniej, miała to zawsze do zawdzięczenia powiewom zasad *liberalnych*, a nigdy reakcyi.“ Drugi powód odwrócenia się Galicyi od niemców ma racyę bytu, ponieważ niemcy zdradzali istotnie po wszystkie czasy dążności centralistyczne i germanizacyjne. „Zachodzi tylko pytanie, czy nie było epok takich, w których stronnictwo niemieckie było skłonnem do zrobienia ze swej strony bardzo znacznych ustępstw polakom za to, ażeby z niem trzymali przynajmniej w kwestyach żywotnych dla utrzymania liberalno-kostytucyjnego ustroju monarchii.“ Autor utrzymuje, że były. Niema wszakże za złe delegacyi polskiej, że z tego nie skorzystała, gdyż jest przeciwny wszelkim sojuszom polaków w sejmie rakuskim; ale natomiast pyta, jakie ich było zachowanie się względem niemców przez siedm lat ministerstwa Auersperg-Lasser? Przez owo siedmiolecie delegacya polska, znajdując się pod przeważnym wpływem stańczyków a rzekomo pod dyktaturą p. Grocholskiego, nie wywalczyła dla kraju żadnych korzyści, nie zajęła żadnego stanowiska, choć mogła to uczynić wobec sprzyjających okoliczności — obniżyła tylko swoją postawę moralną do najniższego poziomu, stała się grupą służalczą, posłuszną na każde skinienie władzy — a owocem tego wszystkiego było targnięcie się Lassera na Radę szkolną, kilka... orderów i nominacya... stańczykowskiego marszałka (Wodzickiego).

Tu zaznaczyć wypada zapatrywanie się Kaczkowskiego na czechów. W austryackiej monarchii — czytamy — jest tylko trzy narodowości, mające istotne polityczne znaczenie, t. j. niemcy, węgrzy i polacy. Czechom „nie chce wcale *Teka* umniejszać znaczenia, ale nie może im przyznać tej wagi, jaką do nich przywiązywały niektóre rządowe systemy w monarchii.“ „Czechy mogą w danych wypadkach posłużyć jako czynnik skuteczny w sprawach wewnętrznych, ale jako narodowa potęga są fikcyą“—i dlatego „nie mogą być sprzymierzeńcami dla narodów, mających przyszłość przed sobą.“ Zresztą „pomijając wzgląd ogólny na naszą *godność narodową*, która nam nie pozwala zawierać sojuszów z tak *niskiego* (?) rzędu sprzymierzeńcami,“ p. Kaczkowski radby wiedzieć, „z którą to połową partyi czeskiej moglibyśmy się sprzymierzyć? Czy z radykalnymi liberałami, czy też feudalnymi stronnikami zaślepionej reakcyi?“ Najdziwniejszą jest uwaga *Teki*, że czesi „nie mają *żadnej* politycznej przyszłości przed sobą.“ Zdaje nam się, że polityczne akcye tych naszych pobratymców stoją nieco lepiej, ale zostawmy autora przy jego zdaniu—jest mu ono zapewne drogie.

Straszne cięgi dostały się w *Tece* panu Hausnerowi. Powiadamy: straszne, jako zbyt gwałtowne, lecz przyznać należy, że głos p. Nieczui, szkoda, że nie umiarkowańszy, działa poniekąd orzeźwiająco wobec tych banalnych sądów, które z p. Hausnera urobiły—Bóg wie co! Owo „orzeźwienie“ nie polega jednak na twierdzeniu, że p. Hausner „politycznej roli w żadnym kierunku już nie odegra,“ o takich bowiem rzeczach, jako dalekich, przesądzać trudno; nie polega ono także na szydzeniu, że p. Hausner, po czterdziestu latach ślizgania się śród salonów, dopiero gdy poczuł płatne urzędy i posady, wybrał się nagle na „zbawienie galicyjskiej ojczyzny z galicyjskiej Jerozolimy (Brody), licząc, że będzie miał do czynienia z głupią szlachtą;“ nie polega ono na żadnych osobistych dogryzkach autora, nietaktownych wycieczkach i drwinach z narodowości atakowanego posła, a tem więcej z jego filozoficznych doktryn; nie polega na świątobliwie naiwnym gniewie na Schopenhauera, który według p. Nieczui, jest jakimś rzezimieszkiem, czy rozbójnikiem moralnym — ale polega ono na tem, że wielkość i uniwersalność rozumu p. Hausnera, pozwalająca mu z trójnoga wyrokować o wszystkiem, nawet o poezyi, sprowadzoną została pod pewnym względem do właściwych granic, że odrzuciwszy na stronę różne wyskoki złego humoru autora, jest p. Hausner w *Tece* prawie tem zupełnie, czem w rzeczywistości, t. j. człowiekiem światłym, wykształconym więcej po salonowemu, niż naukowo, przytem posłem zdolnym, użytecznym, który w kwestyach administracyjnych i innych sprawach bieżących oddać może krajowi znaczne przysługi. Ponieważ zaś jest takim, nie powinienby go p. Nieczuja szarpać, odpędzać od przewodniczenia w sprawach publicznych dla tego, że urodził się z rodziców niemców i drwić z jego uczciwej działalności, twierdzącej, iż „z tych statystyczno - filozoficznych otrębów polskiego chleba nie będzie!“

Uwagi p. Nieczui o dziennikarstwie nie przedstawiają interesu. Są to wszystko stare i oklepane rzeczy—myśli niewątpli-

wie szczęśliwe, ale na roztelegrafowanie niezasługujące, jako znane. Przyznać wszakże trzeba, że są tam rzeczy także całkiem nowe, np. zdanie, iż dziennik nie może wywierać wpływu na opinię publiczną! „Dziennik — zdaniem p. Nieczui — tylko dostarcza ogółowi środków do wyrobienia opinii publicznej, ale sam ani jej tworzy, ani też nią nie kieruje.“ Niech i tak będzie—*sapienti sat*.

W uwagach o dziennikarstwie stańczykowskiem również nic nowego i ważnego. O *Królowej opinii* p. Tarnowskiego autor nic nadto nie umie powiedzieć, jak tylko, że jest ona najniższego rzędu reklamą dla *Czasu* i że p. Tarnowski, „utkwiwszy oczy w nieprzyjaciół szaniec,“ bijąc się w piersi i „licząc różaniec,“ znęca się nad dziennikarstwem lwowskiem takiemi słowy, jakie usłyszeć można tylko między straganami.“ *Bezkarność* p. Koźmiana także zbyta lekko jakąś wzmianką o głupcach i delirium a należałoby się jej daleko więcej, zwłaszcza że autor nie żałuje czasu na inne, mniej ważne sprawy. Wychwalaniem w *Bezkarności* przez p. Koźmiana *Królowej opinii* a znowu przez p. Szujskiego *Bezkarności* w znanym *Liście otwartym* do prof. Bilińskiego, daje p. Koźmian sposobność do notatki, że „zgoła, gdy tylko który ze stańczykowskich pisarzy poroni jaki artykulik, jest zaraz drugi, który ogłasza go za to genialnym.“

Doskonale udał się *Tece* p. Tarnowski. Przyznaje mu ona „chociaż nie wzorową poprawność, to pewien wdzięk stylu, szerokie oczytanie a zarazem ciepłą miłość rzeczy ojczystych,“ co starczyłoby p. Tarnowskiemu „gdyby był *poetą* (?) lub powieściopisarzem,“ ale, niestety, zajął on stanowisko krytyka, estetyka i moralisty. Do tego potrójnego powołania brakuje mu zupełnie przedewszystkiem filozoficznego ukształcenia. „Krytyk, estetyk i moralista bez nauk filozoficznych, wygląda jak kapitan okrętu bez znajomości wyższej matematyki; takich kapitanów posyła się na połów śledzi, ale nie w podróż naukową.“ Dalej brakuje p. Tarnowskiemu teoryi estetyki, której brak zakrywa zwykle „ową niby misterną zasłoną, zawierającą się w słowach: „że są to rzeczy znane.“ Brakuje mu nareszcie znajomości nauk przyrodzonych, na których się cała nowoczesna filozofia opiera—zaś ekonomia polityczna jest dla niego ziemią nieznaną, „a bez niej jak można moralizować społeczeństwo dzisiejsze, zniewolone zużywać dziewięć dziesiątych części swych sił moralnych na zaspokojenie potrzeb materyalnych?“ Jako krytyk, nie napisał nigdy p. Tarnowski żadnego dzieła, w którem by albo wyłożył swoje naukowe i estetyczne teorye, albo też złożył inne naukowe dowody uzdolnienia do sądów o literackich utworach. Przed laty kilkunastu zaczął pisać artykuliki krytyczne i literackie i do dziś dnia nie zdobył się na nic; opowiada ustnie lub pisze to o Słowackim, Krasińskim albo Koźmianie, to wreszcie o pierwszym lepszym szlachcicu, który oddał Bogu ducha, nie zamąciwszy wody nikomu.“ Krytykując, „nie bierze nigdy tego lub owego pisarza w potężną dłoń i nie przedstawia go w całości, tylko się chyłkiem podkrada, rozpatruje fałdy sukien, maca nerwy, a zawsze ma za rękawem stańczykowski kwaczyk.“ Następuje zarzuca mu autor, że nie miał dotąd odwagi wziąść jakiejś epoki lub jakiegoś całego działu literatury i dać jej pełnego obrazu. „Epoka Zygmuntowska jakby nie istniała dla niego, więcej mu przypada do gustu wiek XVII, początek upadku naszego piśmiennictwa; do literatury romantycznej po to tylko się zbliża, ażeby ostrzegać przed jej iskrami — nawet literatury klasycznej, którą chce koniecznie rehabilitować, nie przedstawił nigdy w pełnym obrazie.“ Wziąwszy na siebie obowiązek uczenia innych formy, sam jej nie posiada. Nie można mu robić zarzutu z tego, że nie tworzy dzieł sztuki, nie jest bowiem poetą ani artystą, ale ma się prawo wymagać, ażeby wykład jego zawierał początek i koniec, aby nie ciekł luźnie jak woda, był należycie uczłonkowanym i tworzył całość. Pomimo często zaniedbanego stylu, wykład jednak p. Tarnowskiego „jest dźwięczny i w całości swej wcale nie gminny“ z wyjątkiem częstokroć bardzo nieparlamentarnych zwrotów—ale jest zimny, „nie lgnie do niego fala, ani on do fali,“ a usiłując być zarazem podniosłym i zręcznym, staje się śliskim i powierzchownym.“ „Cokolwiekbądź, prace jego są to po prostu pogadanki czysto literackie, może zajmujące dla jednych, obojętne dla drugich“— lecz „zdolność pisania, choćby najlepszych *Pogadanek*, nie daje jeszcze żadnego prawa do zasiadania na trójnogu i wyrokowania o utworach ludzkiego geniuszu.“

Wybornie polemizuje potem Nieczuja z p. Tarnowskim o Kajetana Koźmiana, wykazując, jakim to mężem „posągowej postaci“ i jakim to „mistrzem“ był p. Kajetan, najciemniejszy ze wszystkich klasyków, mierność w literaturze i w życiu — człowiek bez żadnych przekonań, zły, przewrotny, zazdrosny aż do mściwości, wróg Mickiewicza, pęcherz nadęty, literat, nieznający pierwszorzędnych arcydzieł obcego piśmiennictwa, autor nieudolnych ramot, związych się *Hymnami* i nudnych bajań o *Ziemiańśtwie* i *Czarnieckim*. Mimo to, według p. Tarnowskiego, jest „posągową postacią“ i „mistrzem,“ chyba tylko dlatego, że zwie się *Koźmian* i że jego płytkie a szkodliwe dla zdrowia publicznego tendencye nadają się na stańczykowski młynek.

Na Koźmianie kończy się właściwie *Teka*, gdyż dalsze jej stronnice poświęcone są ogólnym uwagom, zakończeniu dzieła i okolicznościowem natarciu takiej płotki, jak p. Lisicki, o którym szkoda pisać.

Przeglądając *Tekę*, o ile można było najszczegółowiej, mieliśmy na względzie przedewszystkiem to, że poruszając ona wiele wiele rzeczy żywotnych i dając do pewnego stopnia obraz życia Galicyi z ostatnich lat kilkunastu, stanowi dla czytelników pozakordonowych, najczęściej bliżej z tem nieobeznanych, bardzo ciekawy przedmiot — przynajmniej tak się nam zdaje. Następnie, pisma polskie, wydając sądy o *Tece*, czyniły to bez podania jej treści, gołosłownie poniekąd. W ten sposób skazać dzieło na zagładę lub schwalić je bez miłosierdzia—nic łatwiejszego i praktyczniejszego. Nie należymy ani do jednych, ani do drugich. *Teka* — jak to czytelnik mógł się sam przekonać z dotychczasowego jej przeglądu — zawiera wiele kwestyj i wiele rzeczy bardzo pożądanych; trafiają się także bałamuctwa, nawet nierzadko są, jak widzieliśmy, tu i owdzie błędy, jest tam wreszcie nieraz zbytnia namiętność w sądach, ale z tem wszystkiem zasługuje na uznanie, odmówić jej zalet nie można, ani potępić za tendencye. Ktoś tam zarzucił jej, że obracając wszystko w perzynę, nic nie buduje, żadnego nie stawia programu. Ciekawy to zarzut, bo kiedyż to pamflet, jakim jest *Teka*, zbudował cośkolwiek, kiedy postawił jaki program? Co do formy *Teki*, powiedziano, iż jest „nudną gadaniną.“ Zapewne—jak dla kogo, zależy to już od stopnia czyjegoś ukształcenia. Nie ulega wątpliwości, że zwolennik *Guliwera* lub *Muszkieterów* uśnie z *Teką* w ręku, jak znowu dla stańczyka lub jego masztalerza będzie ona nietylko „nudną,“ ale nawet „nieprzyjemną gadaniną.“ Człowiek wszakże bezstronny i nie wymagający, aby wywracano koziołki tam, gdzie nie miejsce po temu—przyzna Kaczkowskiemu, że z pod nawału poważnego materyału wybrnął wogóle szczęśliwie, nieraz świetnie.

Rozstając się z jego książką, nie wierzymy jednak, aby nią, jak chce, powalił stańczyków do grobu. Od pamfletów, niestety, nie wymierają stronnictwa; pamflet w normalnych warunkach nie jest dla stronnictw śmiertelnym, jak papier arszenikowy dla much. Może tylko w najlepszym razie osłabić ich pozycyę, może sprostować błędne mniemania, może, jak dobroczynna burza, odświeżyć powietrze — lecz orkanem, przerzucającym rzek łożyska, niestety, nie jest.

To więc tylko znaczenie ma *Teka Nieczui*.

J. Z.

GŁOS FRANCUSKI

o wyprawie wiedeńskiej.

II.

Traktat zaczepno odporny, zawarty 31 marca 1683 roku między królem polskim i cesarzem austryackim, przewidywał możność oblężenia Wiednia przez turków. Sobieski, idąc na pomoc sprzymierzeńcowi, zastosował się ściśle do warunków umowy, które jednocześnie popierane były przez prośby cesarza Leopolda, ks. Lotaryńskiego i papieża.

Zebrawszy szlachtę polską i litewską, Jan III zorganizował liczną armię i w miarę, jak się formowały pułki, wyprawiał je, wyznaczając lakonicznie punkt zborny *pod murami Wiednia*. W początkach sierpnia i sam król opuścił Kraków z główną częścią wojska; towarzyszyli mu 16-letni syn Jakób i dwóch (!) hetmanów wielkich koronnych: Jabłonowski i Sieniawski (polny).

„Polacy — mówi Sébeville — przeciągając przez Szląsk i Morawy, rabowali co mogli i wyjąwszy, że nie palili, sprawiali takie spustoszenie, jak i tatarzy.“

3 września Sobieski przybył pod Heilbrun o sześć godzin drogi od Wiednia. Ks. Lotaryński co prędzej się z nim połączył. „Książe— czytamy znowu w depeszy francuskiego posła — skarży się, iż był zmuszony upić się z nim (z Sobies.), co mu było bardzo niedogodnem.“ „Co do tego wypadku minister wojewoda (*ministre palatin*) mówi, że król, spostrzegając ślady nieporozumienia, zawarł *Bruderschafft*, albo braterstwo z ks. Lotaryńskim.“ Cesarz wysłał Hermana Badeńskiego, aby w jego imieniu pozdrowił Sobieskiego i naradził się, co uczynić należy dla prędkiego oswodzenia Wiednia. Na drugi dzień król, książe Lotaryński i wielu innych jenerałów odbyli naradę wojenną w Hettldorff, o godzinę drogi od Tulu, po drugiej stronie Dunaju. Zdecydowano, że uderzą na obóz turecki 8-go, w dzień Matki boskiej siewnej i że Sobieskiemu przypadnie pierwszy atak.

Król głównie popierał projekt natychmiastowego natarcia i zaraz też armia cała przeprawiła się przez Dunaj. W wojsku sprzymierzeńców było bardzo wiele znakomitych (urodzeniem) osobistości z całych Niemiec, jak również sporo francuzów (hrabia Maligny dowodził polską piechotą, kawaler le Masson polską artyleryą). Sobieski miał główne dowództwo.

10 września francuski ambasador wysłał następującą depeszę:

„Armia cesarska, złożona przeszło z 60,000 ludzi, postępowała w trzech kolumnach. Polacy są po prawej stronie; powinni wejść na płaszczyznę koło Wiednia (*le long de Vienne*) i tam zająć na niej prawy bok, środkowa część—przez zamek Kahlenberg i lewa wzdłuż Dunaju. Są to trzy bardzo wąskie przejścia, ale ponieważ tutaj mają mało piechoty, więc panuje przekonanie, że nie będą ich bronić i że ustąpią bliżej ku miastu, ażeby oczyścić miejsce dla umożebnienia działań licznej kawaleryi.

Każda kolumna składa się z jazdy i piechoty, jak w szyku bojowym być powinno. Przyszły już wiadomości, że pułkownik Heisler owładnął zamkiem Kahlenberg, o którym mówiłem, i który był strzeżony przez 60 janczarów, i że przód kolumny, która to przejście przebyła, wpadł już na równinę wiedeńską i jest już blisko miasta. Książe Tekeli znalazł możność usunięcia się od połączenia z Wielkim wezyrem, pozostał w oddali i wyprawił dwóch posłów do króla polskiego i księcia Lotaryńskiego, którym przedstawił dosyć niezwykłe warunki ugody z cesarzem. Żąda on ażeby mu zostawiono wszystko, co zdobył, lub co mu się oddało pod opiekę, tak z jednej jak i z drugiej strony Dunaju. Prócz tego domaga, aby mu dano Presburg, bo i tak turcy, powracając, zabiorą go, a jeżeli raz zabiorą w swe ręce, to nic już nie potrafi im wydrzeć; komunikacya między Wiedniem a Rabą zostanie przez to przerwaną. Licząc, że chrześciaństwo zrobi wysiłek, ażeby uratować Wiedeń, lub odebrać zdobyty, on połączyłby swe siły z cesarskiemi, gdyby ugoda stanęła, i poszedł przeciw turkom odbić całe Węgry. Chce on w takim razie, aby wszystko, co każda armia zdobędzie siłą lub pokojem, do niej należało. Nie chciano słuchać tych propozycyj; jednakże układano się z nim, ofiarowując pozostawienie go księciem całych Węgier i mianowanie księciem cesarstwa."

Autor artykułu w *Nouvelle Revue* opis cały bitwy zapożycza od Salvandy'ego, streszczę go w możliwie najkrótszy sposób, aby przejść do urzędowych depesz francuskich.

11 wrześ. rano armia przybyła na szczyt Kahlenbergu po największych wysiłkach; żołnierze nieśli działa na rękach, wieśniacy siekierami torowali drogę wśród lasów, okrywających skaliste urwiska góry. W liście do żony Sobieski mówi, iż go zapewniano o bardzo dogodnem zejściu, tymczasem okazało się w rzeczywistości, że droga na dół ku Wiedniowi była również stroma i pełna niebezpiecznych przepaści. Turcy też nigdy się nie spodziewali, aby wojska nieprzyjacielskie tą drogę obrały; przypuszczali, że atakujący pójdą drogą klosterneuburgską na Nussdorff kolo Dunaju. W pierwszej chwili wszystko osłupiało. Ale natychmiast wezyr zebrał radę wojenną i, wbrew zdaniu większej części wodzów, pchnął piechotę i janczarów, ażeby ostatni cios zadali upadającemu Wiedniowi, a kawaleryi, tatarom i wołochom kazał iść w kahlemberskie wąwozy i odeprzeć zbliżającą się odsiecz. W tej samej chwili Sobieski odbył znowu naradę wojenną i ostatecznie ustawił wojsko do bitwy w równinie. Prawe skrzydło stanowili polacy pod wodzą Jabłonowskiego, na lewem stała cesarska piechota i sasi z ks. Lotaryńskim i z kawalerya Lubomirskiego, środek zajmowała kawalerya cesarska i inne sprzymierzone wojska. Kiedy Sobieski spostrzegł rozrzucony bez ładu obóz turecki, jak gdyby nacierający byli o sto mil, odrazu uznał przeciwników za pobitych (list do żony).

12-go wrześ. o świcie rozpoczęła się ta wielka batalia, co w brzebiegu swoim godna Homerowego pióra, a dziejową doniosłością wyrównywa tym niewielu momentom, gdzie na ostrzu miecza ważyły się losy ras i narodów. Sobieski całą noc pisał listy do Marysieńki. Bitwę rozpoczęła saska piechota z lewego skrzydła. O 8-ej już cała kolumna ks. Lotaryńskiego odpiera turków. Wodzowie wszyscy prześcigali się w dawaniu dowodów męstwa. O 10-ej cesarscy wydobyli się z wąwozów i sformowali się w linię bojową. W godzinę potem polacy, którzy najdłuższą mieli drogę do przebycia, wysunęli się z przesmyku Wiennerberg i przyjęci zostali entuzyastycznymi okrzykami całej armii. Zatrzymano się na chwilkę dla spożycia śniadania i natychmiast potem cała armia ruszyła. W jednej chwili kawalerya cesarska i husarze polscy wzięli wioski Nussdorf i Heligerstadt. Kawalerya turecka na wszystkich punktach była odpartą. Środek i prawe skrzydło zakreśliły olbrzymie półkole i w jednej chwili stanęły groźnie pod obozem Kara Mustafy. Wielki wezyr dowodził głównym korpusem; prawe skrzydło zostawało pod komendą Kara Mechemeda paszy, lewem, na przeciwko polaków, dowodził Ibrahim Pasza. W środku stał Kara Mustafa z arabami, tatarami i janczarami gwardyi. W tym właśnie miejscu zajął stanowisko Sobieski, aby wódz pobił wodza. Żołnierze jego przynieśli trzy działa, które król kazał ustawić w bateryę naprzeciw namiotu wielkiego wezyra. Po pięćdziesiąt talarów płacił on za wystrzał improwizowanym kanonierom. Salvandy opowiada, że jakiś oficer francuski przybił nabój rękawiczkami i pakietem *Gazette de France*, który miał przy sobie.

Król nakazał polskiej piechocie zająć wzgórza, panujące nad wojskiem Kara Mustafy. Dowódca tego oddziału, hrabia de Maligny wykonał atak z całą gwałtownością francuza. Niespodziewany ten manewr wniósł zamieszanie w tureckie szeregi. Kara Mustafa przywołał do siebie piechotę z prawego skrzydła i tym sposobem osłabił boki. Król zawołał: „Teraz są zgubieni" i natychmiast posłał rozkaz ks. Lotaryńskiemu przypuścić gwałtowny atak. W tym samym czasie husarze polscy w całym pędzie przesadzili napotkany rów, wpadli niepowstrzymanie do nieprzyjacielskiego obozu i rozbili armię wezyra na dwie części. Rezultat batalii był zdecydowany.

Margrabia Sébeville, opierając się na doniesieniach kuryerów wodzów niemieckich, w pierwszych swoich depeszach, jako głównego bohatera zwycięstwa ogłasza ks. Lotaryńskiego (mówi np. że to on zdobył namiot wezyra) i później dopiero poprawia swój błąd.

Pod datą 18 września ambasador francuski donosi swemu królowi, że i Sobieski i ks. Lotaryński uznali za właściwe nie ścigać już więcej nieprzyjaciela, a to z powodu wielkiej jego liczby i własnego zmęczenia, a także braku żywności; jednak jest to tylko powód pozorny, bo rzeczywiście boją się po raz drugi próbować szczęścia w bitwie, kiedy już Wiedeń wolny.

W depeszy znown z 25 września czytamy: „Cesarz powrócił we środę i całe otoczenie jego mówi tylko o wielkim łupie jaki dostał się królowi polskiemu i jego armii; wojska cesarskie pozostawały całą noc pod bronią, nie wiedząc jeszcze napewno, co zrobili turcy; to dało możność polakom rabować przez ten cały czas obóz turecki i rabunek ten przeszkodził na drugi dzień królowi polskiemu ścigać uciekających, gdyż trzeba było najprzód ubezpieczyć i wysłać zdobycz.

Armia ta, składająca się z 14 do 15,000 ludzi, prowadzi z sobą przeszło 10,000 pustych wozów, zabranych przeważnie na Szląsku i w Morawach, ażeby módz odwieść rabunek..."

Że łup był duży, to wiemy napewno z listów Sobieskiego do żony; co zaś do towarzyszących okoliczności, to świadectwo margrabiego należy uważać za echo tych pogłosek, jakie krążyły wówczas wśród świty bohaterskiego cesarza o tryumfującym sprzymierzeńcu, gdyż był on wtedy w Lintzu i sam bezpośrednio nic widzieć nie mógł.

Według Sébeville'a turcy stracili około 30,000 ludzi, polaków zaś miało paść przeszło 1,000.

Na drugi dzień po bitwie Sobieski wszedł do miasta i, jak wiadomo, był witany przez wiedeńczyków jako zbawca. Stolica cesarstwa przedstawiała okropny widok, dokoła stały ruiny. Kapitan Henneman, który pojechał natychmiast do Lintzu, mówił Sébeville'owi, że 20,000 ludzi umarło podczas oblężenia i że trzech dni nawet dłużej niepodobna by się bronić.

Nareszcie i cesarz, dowiedziawszy się zapewne, iż już bez najmniejszej kwestyi turcy są daleko, odważył się 15 wrócić do Wiednia. Pan Vachon dosyć miejsca poświęca pociesznym kłopotom, jakie wynikły z powodu potrzeby spotkania się dwu głów ukoronowanych. Szlachetny Leopold jak tarczą zakrył swą niewdzięczność... zasadą. On, wielki posiadacz władzy z woli bożej, miałby w jakikolwiek sposób stanąć na drugim miejscu wobec elekcyjnego króla... nie!

Długo toczyły się rozprawy, cesarz dyplomatyzował, Sobieski jednak wprost powiedział, że wie, o co chodzi i zaproponował słynne spotkanie się na koniach wobec wojsk. Nie chcąc dawać zgorszenia żołnierzom, Sobieski zaczął pierwszy winszować cesarzowi, na co ten odpowiedział wyliczeniem dobrodziejstw, jakie spadły na Polskę dzięki przyjaźni i protekcyi Habsburgów. Ale szlachcic-król zaraz mu odciął: „Mój bracie, cieszę się, żem ci oddał tę przysługę." Potem Sobieski przedstawił syna, ale cesarz ledwie głową kiwnąć raczył. Przy prezentacyi panów polskich, jeden z nich zsiadł z konia i pocałował but cesarski, król trącił go szpicrutą i rzekł: „panie wojewodo, żadnych uniżoności."

Szczegóły te są zawarte w sprawozdaniu, jakie dwór polski przesłał Ludwikowi XIV przez ambasadora francuskiego, margrabiego de Vitry.

W tym samym sprawozdaniu znajduje się szczegół ciekawy ze względu na austryackie oświetlanie bitwy w ostatnich czasach, a mianowicie, że ks. Lotaryński domagał się, aby cesarz poszedł do króla i uściskał go, dziękując. Był on *oburzony* i utrzymywał, że za *tak ważną przysługę* sprzymierzeniec przynajmniej powinien odejść zadowolony.

Trudno jest przypuścić, ażeby dziś jakakolwiek nawet zdolność wojskowa mogła lepiej ocenić rolę króla polskiego, niż jeden z głównych dowódców samej bitwy. Austryackiemu sztabowi od świętej pamięci już się nie wiedzie, widocznie więc umyślił niewidzianą dotąd sławę zdobyć w kampanii przeciwko Sobieskiemu. Bo gdyby nawet udział polaków był bardzo mizerny, gdyby—w co ja chętnie wierzę—już w owym czasie potęga turecka straszną światu zachodniemu nie była, to i tak Wiedeń zupełnego zniszczenia i zagłady uniknął dzięki polskiej pomocy. Sébeville był zdala od placu bitw i wiadomości swoje czerpał ze świadectw niemieckich. Z jego zaś depesz oczywisty wynika wniosek, że bez Sobieskiego nie byliby się odważyli wodzowie cesarscy uderzyć tak prędko na turków. Z drugiej strony Wiedeń i trzech dni dłużej nie mógł się trzymać. Bezwątpienia, historya znajdzie dość dowodów wszelkiego rodzaju dla dokładnego oświetlenia sprawy i potrafi wykazać rolę taktycznych zdolności Sobieskiego, ja tylko wyciągam wnioski z materyałów, zawartych w streszczonym artykule.

P. Vachon powiada, że nietylko Sobieski miał powód żalenia się na niewdzięczność cesarza. Jeden zaledwie Stahremberg został należycie wynagrodzony (mianowany feldmarszałkiem, otrzymał order Złotego Runa i 100,000 florenów), wszyscy inni, nie wyłączając i ks. Lotaryńskiego, mieli słuszny powód do skarg; zamiast nagrody cesarz raczył im dawać dowody swej niełaski.

K. T.

LIBERUM VETO.

Czem oceniać trzeba żydów. — Za co ich szanuję. — Gdyby Palestyna zaludniona była przez Jeleńskich. — Przełażenie przez ucho igielne. — Ucieczna historya. — Dwa listy publiczne i jeden prywatny p. Korwin-Prendowskiego. — Dwie racye. — Taktyka wiewiórki i szczucie z ganku. — Drażliwość żydów. — Czarna niewdzięczność. — Morał. — Uchwała komitetu w sprawie pomnika Mickiewicza. — Żale nad poetą. — Złamana noga za dwa ruble. — Kto spór rozstrzygnie.

Aryjczyk, chcący sprawiedliwie osądzić istotnych żydów, nie powinien ich oceniać ani wzrokiem, ani słuchem, ani dotykiem, ani powonieniem, ani smakiem — lecz rozumem. Wszystkim bowiem niesemickim zmysłom nie przedstawiają oni zadowolenia: oku nie podobają się ich twarze, uchu—mowa, nosowi—przykra woń, podniebieniu—cebula, ręce—brud. Ale rozum, który to wszystko na bok odsuwa i mierzy jedynie geniusz ludzi, wyrokuje inaczej. Przepraszam — mała poprawka: ponieważ i twórcy nowożytnej *judenhetzy* mają również pretensyę do rozumu i ponieważ z wielu stron mógłbym się narazić na protesty, więc wyraźnie zastrzegam, że mówię w imieniu rozumu własnego. Otóż mój rozum powiada, że żydzi to pierwiastek godzien wielkiego szacunku. Za co? Za epopeję biblijną, za Heinego, Börnego, Mendelsohna? Nic — za to, za co ich p. Gumplowicz wykpał — że nie zginęli i nie giną. Może to być bardzo niedogodnem dla niemców, rosyan, polaków, dla całego świata, ale ostatecznie jest siłą — olbrzymią. I wodospadu Niagary przepłynąć i na Elborus wejść nie można, mimo to wszakże ani owa rzeka, ani góra nie przestaje być wielką. Chociaż wierzę głęboko w niespożytość redaktora *Roli*, opierającego się wytrwale burzom... śmiechu i gniewu, jestem najmocniej przekonany, że gdyby Palestyna była zamieszkaną przez jego potomków, gdyby ich tylu wymordował i rozegnał Wespazyan z Tytusem, gdyby tak ich tępiono aż do najnowszych czasów, doprawdy nie mielibyśmy dziś szczęścia oglądać ani jednego z Jeleńskich. Opluwszy wszelakich pachciarzów, szynkarzów, kramarzów i faktorów, zastanówmy się tylko spokojnie nad tem, że to jest lud, który w ciągu dwudziestu kilku wieków musiał jak wielbląd przełazić przez ucho igielne i — przelazł. Kiedy mu wydarto wszystko: ojczystą ziemię, wiarę, prawo do jednakiego życia z ludźmi i pozostawiono tylko najpodlejsze zajęcia, on chwycił tę wzgardliwą jałmużnę, nią się karmił i osłaniał przeciw wszelkim okrucieństwom losu. Gdy na niego podniesiono rózgę, on ją tylko mógł powstrzymać swoim grzbietem. Jak stado trutych i rozganianych szczurów chował się w nory i żył niezmieconymi okruchami. W legendach i proroctwach marzył o mesyaszu i powrocie do Jerozolimy, ale w życiu praktycznem nie brał snów za rzeczywistość, nie sięgał po niemożliwości, ale zimno i ściśle liczył się z warunkami. I ocalał. Oto, co jest jego chwałą i co zasługuje na podziw każdego rozumu, niezbłąkanego wrażeniami nosa lub uszu. Zaiste, jeśli któremukolwiek narodowi zależy na wyrobieniu w sobie hartu przeciw niedoli i umiejętności wyzyskiwania wszelkich położeń, powinien on swym dzieciom ustawicznie, jako wzór, stawić przed oczy żydów.

I tych to żydów, których nie mogły wyciąć starożytne topory i wypalić średniowieczne stosy, naprzód piórem wyciągnął a później w kałamarzu utopił jeden p. Korwin-Prendowski z Sandomierskiego. Jak to było, opowiem, a czytelnicy posłuchać mogą tembardziej, że historya naszego Samsona nie jest wcale tragiczną.

Przed kilku miesiącami ów p. Korwin-Prendowski mieczem ziemiańskim uciął w *Kuryerze Codziennym* łeb hydrze *Roli*, zjadającej żydów.

Przed kilku dniami znowu tenże p. Korwin-Prendowski tymże mieczem uciął w *Roli* łeb hydrze *Kuryera Codziennego*, broniącego żydów.

Powodem tej nagłej zmiany było „głębsze zapoznanie się z kwestyą" i „ugruntowane przekonanie," które szanownemu Piłatowi podyktowało skruchę: „mea culpa— nie miałem racyi." Zestawiwszy daty i „przekonania," można by tylko powinszować p. Prendowskiemu zdolności szybkiego „zapoznawania się z kwestyą," gdyby nie odsłonięte przez *Kuryer Codzienny* zabawne intermezzo. Mianowicie, między swymi dwoma listami publicznymi szan. ziemianin z Sandomierskiego napisał trzeci, prywatny: do p. D. Rosenbluma z prośbą o pożyczkę... pieniędzy, których nie dostał. Wobec tej niespodzianki zdolność jego do nabycia „ugruntowanych przekonań" maleje a „głębsze zapoznanie się z kwestyą" zmienia pierwotny kierunek. Zamiast wszakże śmiechu nad pułapką, którą p. Prendowski sam na siebie zastawił, postaram się dowieść, że on, wcale nie wiedząc o tem, w obu razach miał zupełną racyę (w trzecim—naturalnie!) Naprzód co do *Roli*. Pismo to rzeczywiście wyrazem mniemań rozumnej części naszego ziemiaństwa być nie może, bo całkiem nie wie, czego chce. Strach ma zwykle duże oczy, takie też upatrzyli nasi izraelici w *Roli*. Tymczasem posiada ona oczki bardzo małe. Ile razy logika nienawiści zaprowadzi ją do jakiejś radykalnej konsekwencyi, tyle razy psotna wiewiórka, gryząca z cudzych drzew oberwane antisemickie orzechy, cofa się w dziuplę. Pojmuję odwagę i konsekwencyą furiatów zagranicznych, Istoczych i Schmeitznerów, którzy krzyczą: wypędzić żydów, ochrzcić, czy wymordować; ale nie rozumiem ludzi, którzy zwalając wszystkie grzechy na głowę ofiarnego kozła, nie wiedzą, co z nim zrobić, lękają się dośpiewać swych myśli i wykręcają się sianem jątrzących frazesów. Nasz antisemityzm nie jest socyologią, ale maniactwem, podstawiającem żydów nawet tam, gdzie ich nigdy nie było. Pogoda — żydzi nie dostali się do nieba, deszcz — żydzi sciągnęli chmury; tanio — żydom nie udała się szacherka, drogo — żydzi zrobili zmowę itd. Słowem, czy mularz spadł z rusztowania, czy rzepak się nie urodził, czy pociąg się wykoleił, czy zima zające wymroziła — wszystkiemu winni żydzi. Jeśli to wnioskowanie szczere — to obłąkane, jeśli udane—to niesumienne. Jeżeli zaś ma to być odbiciem ducha naszej szlachty, to znowu, cobyśmy powiedzieli o takim ziemianinie, któryby sądził, że rozwiąże kwestyę żydowską, gdy z ganku poszczuje każdego przechodzącego izraelitę i ubawi się jego strachem? Udział żydów w naszem życiu krytyki potrzebuje i do skarg daje częste powody, ale wybijanie im okien słowami i czynami, rozpruwanie pierzyn i rabowanie sklepów — to argumentacya ciemnego tłumu, ale nie światłej prasy. Dzięki metodzie bezmyślnych podszczuwań i wzgardliwej poniewierki, ludzie rozważni i sumienni zapierają w sobie głos nagany, ażeby ustrzedz się posądzenia o wspólnictwo w siejbie nienawiści, sami zaś izraelici każdy surowszy o nich sąd odbijają gwałtownym krzykiem. Publiczne napomnienie Bartka za szkodnictwo lub jakiegoś księdza za fanatyzm już dziś niewielu gorszy; ale gdy ktoś powstanie na Moska, że lud rozpaja, lub wydobędzie na wierzch cudotwórcze oszustwa rabina—zaraz alarm śród wyznawców Starego Zakonu. Nawet ukształceńsi między nimi nie przywykli do krytyki, bo zwykle spotykają się tylko ze wzgardą lub potwarzą.

I z tego właśnie stanowiska p. Prendowski miał w pierwszym liście racyę.

Miał ją i w drugim o tyle, że większość naszego ziemiaństwa żydów nie cierpi i dogadza temu uczuciu metodą *Roli*. Dlaczego nie cierpi? Nie wiem, bo gdyby żyda nie było, przeciętny szlachcic polski niezawodnie by go stworzył. Rozumiem nienawiść ludu i pretensye mieszczaństwa: pierwszy staje się często ofiarą wyzysku, drugie — ofiarą trudnego w przemyśle i handlu współzawodnictwa. O co wszakże idzie tym, którzy bez pachciarzów, szynkarzów, sadowników, faktorów i bankierów prowincyonalnych obejść się nie mogą? Doprawdy — jest to czarna niewdzięczność. Ale fakt, nawet niedorzeczny, nie przestaje być faktem — czyli — p. Prendowski ma drugą racyę.

Jaki zaś z tego wszystkiego morał? Bardzo prosty: czy panowie Prendowscy rzucą swój głos na tę, czy na ową szalę, tyle pomogą lub zaszkodzą żydom, ile grzeczny panicz głaszczący po twarzach ładne Surki lub kot dworski duszący żydowskie myszy. Takie lub inne rozstrzygnięcie sprawy nie zależy wcale ani od Filipów z Konopi, ani od dziennikarskich szczypawek, ale od trybunału, który słucha zeznań całego ogółu a wyrokuje według kodeksu nauki i pod natchnieniami bogini, która, mając zawiązane oczy, krzywych i prostych nosów nie widzi.

Temida, zadąsana na krakowski komitet, upadający pod brzemieniem... wyboru miejsca dla pomnika Mickiewicza, powróciła nieszczęśliwym protektorom p. Dykasa swe łaski i poradziła im, aby posąg stanął na Rynku. Biedny p. Rzewuski! On do ostatniej chwili tak dalece miał nadzieję zdobycia zaszczytu dla placu uniwersyteckiego, że w swoją świeżo wydaną ku temu celowi broszurę włożył czerwoną kartkę, zapowiadającą zwycięstwo jego projektu. Ale nie ma czasu na litość — cieszmy się, że komitet, który strasznie ciężko rodzi, wreszcie wydał na świat tak oczekiwaną uchwałę. Szczerze mówiąc, jego mozoły i wahania się są dosyć usprawiedliwione, gdyż w Krakowie nie ma miejsca na pomnik Mickiewicza. Jeden plac lepszy od drugiego, na każdym jednak z nich uczułby się w domu Pius IX lub hr. St. Tarnowski, ale nie twórca *Pana Tadeusza*. To też gdy pomnik stanie, wielu rodaków poety, stanąwszy przed nim, pytać będzie: „Co ty tu robisz, kochany mistrzu! Z jednej strony wykrzykuje na ciebie Golian, z drugiej cynicznie marchewkę ci skrobie Koźmian; z trzeciej poufale, jak pan szaraczkowego szlachcica, po ramieniu klepie Tarnowski, zewsząd obłażą cię księża, hrabiowie i stańczycy, a ciemny lud krakowski sądzi, żeś został uczczony za dobre przenocowanie i obsłużenie arcyksięcia Karola w jego przejeździe do Krzeszowic." Usłyszawszy to, zapewnie westchnie spiżowemi ustami i odpowie: Strącą mi tę karę z pokuty w czyścu.

Tą samą nadzieją niechże się pocieszy i ów robotnik, który złamawszy nogę przy ładowaniu szyn, dostał od przedsiębiorcy za tę przykrość rs.... *dwa*. Pismo, donoszące o tym wypadku, oburza się na nieludzkość kapitalisty. Bez potrzeby. Co tam ma do czynienia ludzkość w stosunku, w którym robotnicy biorą 5 złotych od naładowania wagonu szyn, a przedsiębiorca, przypatrujący się ich rozrywce — 3 ruble. W interesach pieniężnych zwykle sumienie jest niegrzecznem dzieckiem, które się za drzwi wyrzuca, ażeby nie przeszkadzało. Kapitał z pracą nie romansują, ale walczą, a nie pogodzi ich żaden sentyment, ale surowa ręka (zapowiedzianego już) prawa, które powie: ta złamana noga jest warta tyle a tyle, i pan przedsiębiorca musi należność zapłacić. To spory rozetnie.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Kilka słów o przeniesieniu arki postępu do nowej świątyni. — Dobry kucharz złego pana. — Radość w redakcyi Kuryera. — Lekcye „nauki trawienia" u Stępkowskiego. — Nieco o sumieniu aptekarskiem.

Religia jest potężną dźwignią, za pomocą której ludzkość wznosi się na wyżyny cywilizacyi. Znaczenie to posiada one dopóty, dopóki jest odbiciem jakiejś idei społecznej, jakichś niezaspokojonych pragnień człowieka. Z biegiem czasu na olbrzymich ramionach dźwigni sadowią się legiony kastowych pasorzytów; ze świętych haseł egoizm układa dla siebie wtedy księgę ustaw, a ze sztandarów bojowych samolub wykrawa zręcznie ohydny płaszcz obłudy. Szermierze prawdy i postępu przenoszą swoją arkę do innej świątyni, a w starym gmachu pozostają tylko faryzeusze i ich niedomęczone ofiary. Religia staje się bezmyślnym kultem.

Ze świątyni katolicyzmu postęp wynosi już swoją arkę przymierza. Bezduszna bigoterya często robi z krzyża stempel — do sprzedawania odpustów. Chrystus katolicki nie zawsze jest już owym pełnym młodzieńczej siły apostołem, wypędzającym przedajność z przedsionków ołtarza, obrońcą wdów i sierot.

Ani byś przypuszczał, czytelniku, że do tych filozoficznych rozmyślań skłoniła mię czarna kronika życia jednego z ziemian. Człowiek ten, którego za przedstawiciela jakiejbądź klasy u nas uważać nie chcę, stawał już kiedyś przed sądem czytającej publiczności. Przywołano go przed ten trybunał w imieniu biednej, chorej kobiety, jego wierzycielki, którą kazał wyrzucić z mieszkania na mróz — wraz z dziećmi. Dzisiaj odzywam się znowu ze skargą; klientem moim jest zelżony przez niego katolicyzm.

Sprawiedliwość niebieska wszystkich dosięgnąć nie chce, ziemska — nie może. Obywatel ów, po skrzywdzeniu chorej kobiety i po przegraniu z nią sprawy w pierwszej instancyi, udał się do wyższej. Tam karę zmniejszono mu prawie do zera. Drwiąc sobie z oburzenia wszystkich zacnych sąsiadów, „przepisał" majątek swój na imię jakiegoś kuzyna i w ten sposób pozbawił mienia kilkudziesięciu biednych ludzi, pomiędzy którymi wdowy i sieroty nie najmniejszą stanowiły pozycyę. Później losy swe powierzył w ręce dobrego... kucharza. Złośliwe języki, obracające w ustach smaczną pieczeń, musiały dać pokój zszarganemu honorowi. Nakoniec dla zupełnego pogodzenia się z opinią—sprowadził ten pan do domu księdza, aby mu odprawił mszę w jego mieszkaniu.

A wiecież wy, czytelnicy, co znaczy ten ksiądz, jadący ze mszą do prywatnego domu człowieka, którego całe życie było i jest urąganiem wobec zasad Chrystusa? Wiecież wy, co znaczy ta łaska kapłana, który może o godzinę pierwej nie chciał pochować „na kredyt" żony biednego wyrobnika?

To znaczy, że wypędzeni przez Galilejczyka przekupnie, wyszedłszy z przedsionków schronili się w samej świątyni...

W świątyni jednego z naszych pism, gdzie, jak wiadomo, „chronią się" sprzedający zdrową logikę za strzępki starych ornatów — zapanowała niedawno wielka radość. Na zgromadzeniu gminnem w jakiejś wiosce uchwalono, aby w niedziele i święta chłopi byli pozbawieni nietylko trunków, ale zabaw i tańca... Kiedyż się więc będą bawili, jeżeli nie w święta? Redaktor pisemka, który w „trawieniu" widzi „wielką naukę" i który nauce tej dotąd poświęca się jeszcze u swoich parterowych sąsiadów—nie wiedział zapewne nic o pobożnej radości swego sekretarza. Bo nie byłby mu pozwolił cieszyć się z przymusowego postu wieśniaków, gdyż w przeciwnym razie sam musiałby w niedziele i święta starannie omijać Stępkowskiego i Boqueta — albo, dla umartwienia, odczytywać raz na tydzień przeglądy polityczne i telegramy własne. Czyżby ci panowie przypuszczali, że taniec z sierpem i kosą jest zabawą całkiem już wystarczającą?

Ponieważ żaden z aptekarzy prowincyonalnych nie sprzedał mi „w pudełku szczęścia za 15 rs." więc nie mam obowiązku oszczędzać tych sławetnych przedstawicieli małomiasteczkowej inteligencyi. W nr. 171 *Gazety Polskiej* „Lekarz z małego miasteczka" poruszył niedawno sprawę aptek prowincyonalnych—w takich szczególniej miasteczkach, gdzie nie ma lekarzy. Na artykuł ten odpowiedział w tejże gazecie aptekarz z Grodna, pan J. S. Nieco później redakcya otrzymała tyle reklamacyj od „przedstawicieli," że aż zmuszoną była polemikę u siebie zamknąć. Tymczasem sroga Nemezys, mszcząc się za wszystkie zatrute niemowlęta chłopskie, za wszystkie flakoniki z wodą wapienną, odgrywającą rolę eliksiru życia, za wszystkie psoty farmacyi, natchnęła teraz jakiegoś lekarza myślą wystąpienia w *Prawdzie* z obroną pomówionego o oszczerstwo eskulapa. Nie mogę korzystać z miłej uprzejmości korespondenta, nie mogę zużytkować całego przysłanego mi przezeń materyału; ten jednak, jaki tutaj na jego odpowiedzialność zamieszczę, zadowoli zapewne wszystkich amatorów domorosłej farmacyi.

W miasteczku Z., mającem około 5000 mieszkańców i dość ładną, zamożną okolicę, przed trzema laty nabył aptekę człowiek zacny; przyprowadził on ją do porządku, lekarstwa wydawał biednym za cenę możliwie niską i w przeciągu lat dwu stracił przeszło 10,000 rs. Przyczyna niepowodzeń następująca. W tem samem miasteczku lekarz M. posiada sklep, w którym oprócz wina, świec, butów itp. sprzedaje olej rycynowy, chinę i wogóle wszystkie lekarstwa, przezeń zalecane. Apteka musiała upaść. Przemyślny eskulap w przeciągu lat pięciu „wykurzył" z miasteczka *czterech* swoich kolegów i teraz panuje w niem niepodzielnie. Jeżeli więc lekarz, oddający się handlowi aptekarskiemu, mógł dopuszczać się rozmaitych nadużyć dla osobistego zysku, to dla czegoż od wszelkich zarzutów mają być wolnymi pp. aptekarze i dla czegoż jedyną na nich kontrolą ma być ich własne sumienie?

Czy dopilnuje ono honoru wszystkich tych, co, jak ów aptekarz w Warszawie, sprzedają płyny, niedające się wylewać z flaszki i co magnezyi pragną nadać własności chininy? Czy kontrola taka wystarczającą będzie dla fabrykantów komarowego lub bocianiego sadła — po 50 i 100 kopiejek za pudełko — wartujące 2 grosze? Znanym jest przecie na Litwie zwyczaj sprzedawania „szczęścia" w aptekach, za które ciemni chłopi płacą po 3—5 a nawet 15 rs.!

Wszystkie te zapytania i kwestye sporne przesyłam pod adresem p. J. S. w Grodnie od mego korespondenta, który, kończąc swój list powiada: Nie poruszając sprawy nieporządków w aptekach małych miasteczek, gdzie niema lekarzy — dla tych ludzi, którzy się bezmyślnie jak nożyce za uderzeniem w stół odzywają — odwołuję się do tych obywateli kraju zarówno lekarzy, jak aptekarzy, dla których rzetelne pojmowanie obowiązków obcem nie jest.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 12 września.

Nowe przymierza. — Sprawy bulgarskie. — Rozruchy w Kroacyi i Hercegowinie. — Wybory uzupełniające w Galicyi.

Z początku podwójne, a później potrójne austro-niemiecko-włoskie przymierze, przyciąga coraz nowych satelitów, tak że w końcu zmieni się w ogromną ligę pokojową państw europejskich. Bo utrzymanie pokoju ma być jedynym związku tego celem, jeżeli wierzyć mamy zapewnieniom jego kierowników. Hiszpania i Rumunia w osobie swych monarchów przystąpiły uroczyście do związku, obecnie król Alfons gości w Niemczech a minister rumuński Bratiano konferował w Gasteinie z księciem Bismarkiem. Do liczby uczestników wielkiego przymierza dodać jeszcze należy Serbię, której nawa państwowa od kilku lat już żegluje pod austryacką flagą. Gazety niemieckie, pilnie śledzące za manewrami przeciwników, przypisują Rosyi zamiar utworzenia nowych kombinacyj politycznych: ligi państw skandynawskich i ligi bałkańskiej, któremi zrównoważyć pragnie szanse przyszłej walki.

Dotychczas jednak o robotach w tym kierunku nic napewno powiedzieć się nie da, chyba to, że są one naturalne i możliwe.

W Bulgaryi spór między zgromadzeniem narodowem i ministrami rosyjskimi zakończył się spokojnie wzajemnemi ustępstwami. Oba stronnictwa, liberalne i zachowawcze, połączyły się w celu przywrócenia rządu konstytucyjnego. Zjednany dla tych projektów książę Aleksander postanowił utworzyć pod swoim przewodnictwem „komisyę narodową," złożoną z przedstawicieli obu partyj, która ma, jak można najprędzej, wypracować statut dla Bulgaryi. Projekt ten będzie złożony do rozpatrzenia i zatwierdzenia, umyślnie w tym celu zwołanemu „wielkiemu zebraniu," następnie zaś zostanie utworzone nowe ministeryum narodowe, składające się wyłącznie z krajowców — tylko ministrem wojny powinien być rosyanin i prawosławny. P. p. Kaulbars i generał Sobolew otrzymają dymisyę. Przedstawiciel Rosyi Jonin w imieniu Najjaśniejszego Pana postanowienie to zatwierdził.

Powoli, pod grozą nadzwyczajnych środków ustają rozruchy ludowe w Węgrzech, chociaż od czasu do czasu tu i owdzie, zgaszony pozornie płomień wybucha na nowo. Ale o stanie rzeczy w Kroacyi nawet i tego powiedzieć nie można. Ludność miejska uspokoiła się nieco, lecz po wsiach zaburzenia trwają ciągle. Patryoci chorwaccy, oburzeni pogwałceniem ze strony rządu swobód konstytucyjnych, otwarcie namawiają lud do oporu. Gazety wzywają posłów do złożenia pełnomocnictw. Środki represyi, stosowane z całą surowością, nie osiągnęły pożądanego skutku. Wprawdzie przywrócono napisy na gmachach urzędowych, ale ludność nawet w Zagrzebiu codziennie obrzuca je błotem i kamieniami, a trudno przecież ciągle utrzymywać straż dla ich ochrony. Do zbuntowanych miejscowości wysłano kilka nowych pułków, co świadczy, że położenie jest groźnem. Na domiar kłopotów dla rządu austryackiego, powstanie w Hercegowinie wznowiło się. Powstańcy stoczyli kilka krwawych utarczek z wojskiem, a w całej prowincyi panuje silne wzburzenie umysłów.

Sejm galicyjski zwołany będzie w dniu 15 września. W kilku okręgach odbyły się wybory uzupełniające, ponieważ poprzednio wybrani starostowie, jak się okazało, nadużyli swego urzędowego stanowiska. We wszystkich okręgach rozumie się, „zdrowy rozsądek" wyborców wziął górę nad

machinacyami świętojurskich wpływów i mandaty poselskie ofiarowano kandydatom narodowym. Tym razem podobno „rozumne kierownictwo“ żandarmów i władz autonomicznych nie miało żadnego wpływu na wolną wolę wybierających obywateli, ale za to skonstatowano fakt, że ich zdrowy rozsądek przyćmiony był nieco zbyt hojnem używaniem wyrobów krajowego gorzelnictwa. Stary to, ale pewny środek, przy właściwem jego stosowaniu kandydaci narodowi przejdą zawsze we wszystkich okręgach i nikt im nadużyć nie zarzuci.

J. TURGENIEW.

(Nekrolog).

Zamieszczając charakterystykę działalności pisarskiej Turgeniewa, nie pomyliliśmy się, twierdząc, że on do niej już nic nie doda. Rzeczywiście zeszłego tygodnia schorowany poeta zakończył swoje pełne chwały i boleści życie.

Inteligencya całego świata pokrywa jego trumnę wieńcami. Był to rzeczywiście umysł nietylko potężny, ale wrażliwy na wszystkie wielkie idee, przy których świetle ludzkość naprzód kroczy i za które walczy. Żaden dziki rys nie szpecił jego duszy, żadne — mówiąc językiem Szczedryna — „taszkienctwo“ nie splamiło jego utworów. Jeżeli literatura rosyjska nie traci w nim swego króla, to w każdym razie traci słynnego przedstawiciela za granicą. W tej literaturze Europa znała, ceniła i rozumiała z żyjących tylko Turgeniewa. Bo on istotnie — że użyjemy jego przenośni — w bukiecie piśmiennictwa europejskiego nie był liściem kwaszonej kapusty, ale pięknym kwiatem.

. . . .

Serca swego nie otwierał nam często, ale też nie zamykał nigdy. Rozumiał nas i oceniał sprawiedliwie, był naszym przyjacielem. Niech też i nasz szczery żal obok innych zapisze się na jego grobowcu.

CUDZE GŁOSY.

Kto chce wojny? *Kreuz-Zeitung* zamieściła następujący list z Neapolu do niemców:

„Szczujcie-no do wojny Rosyi z Niemcami! Dalej! My rosyanie wcale nie lękamy się wojny. My bo poprzestaniemy obecnie na obronie (jak turcy pod Plewną), a zresztą niech o nas radzi poczciwa zima nasza. Hę? Co tam powiecie na zimowe kwatery przy 30 stopniach mrozu? Inaczej to smakuje, niż miła wojenka zimowa we Francyi.

Natomiast dla Niemiec byłaby wojna z Rosyą okrutną naprawdę klęską. Za pierwszym strzałem wyrznęlibyśmy, ile się da, niemców zamieszkałych w Rosyi a resztę, jak psów, wypłoszymy za granicę.

podp. *Rosyanin*.“

Na wysnutą z tego powodu polemikę w gazetach niemieckich i rosyjskich, odpowiadają *Moskowskija Wiedomosti*:

„W Rosyi, zupełnie tak, jak i w Niemczech, nikt nie pragnie wojny. Rosyanie niemniej od innych wiedzą, co to jest wojna. Rosya, zarówno jak i Niemcy, mogłaby zdecydować się na wojnę tylko w ostateczności. Lecz jakiż mielibyśmy interes napadać na Niemcy? Cośmy u nich zapomnieli? *Kreutz-Zeitung* zapewnia, iż w Rosyi jest jakaś partya „słowianofilskich podżegaczy.“ Cóż tym podżegaczom może się podobać w Niemczech? Czy *Kreuz Ztg.* nie myśli przypadkiem, iż w Rosyi ma kto pretensye do Szczecina lub wyspy Rugii, dlatego, że tam ongi mieszkali słowianie? Wprawdzie do Niemiec należą obszerne ziemie plemienia polskiego. Czyżby ich zapotrzebowała Rosya? Czy zamierza ona odbudować Rzeczpospolitę, ażeby postawić „barierę między Rosyą a Niemcami,“ mieć pod bokiem „sąsiada słabego w miejsce silnego?“ Lecz podejrzenie takie wypadałoby raczej skierować do Niemiec, niż do Rosyi. Tam podejrzenia takie miały swój wyraz, tam dotąd jeszcze nasza „Kongresówka“ jest uważana za kraj oddzielny i w gazetach prowadzi się specyalna rubryka: „Russland und Polen.“ W Rosyi przecież wszyscy są tego przekonania, że większość niemców, zupełnie tak jak i rząd niemiecki, trzyma się innych poglądów i w patryotach polskich widzi wroga, który szuka tylko sposobów poróżnienia Rosyi z Niemcami. Czyż dawno pogląd taki na polską sprawę był bez ogródki wypowiedziany przez organ kanclerza *Nordd. Allg. Ztg.* i był wypowiedziany właśnie jako potwierdzenie rosyjskiej opinii w tej kwestyi? W danym wypadku jaką rękojmię ma *Kreuz Ztg.*, że list anonimowy, otrzymany przez nią z Neapolu i w tak lekkomyślny sposób wydrukowany, nie pochodzi od którego z działaczy „polskiej sprawy?“ Z drugiej zaś strony, ludzie myślący w Rosyi nie mogą nie wiedzieć, że Niemcy nie mają żadnych rozsądnych powodów do szukania waśni z Rosyą, że wszelkie jej interesa dążą do wzmocnienia związku zgody dziejowej, łączącej oba wielkie mocarstwa. Może Rosya powstaje przeciw tej polityce, która wytrąciła monarchię Habsburgów z Niemiec, wskazała jej Wschód jako właściwą arenę i popchnęła to wielojęzyczne państwo do zaboru Bośnii i Hercegowiny? Nie, Rosya może spokojnie patrzeć na tę politykę. Niegdyś Austrya była potężnem mocarstwem—pobudka otrzymana przez nią i narzucona jej polityka mocarstwa wschodniego, nie wzmocniły, lecz rozprzęgły Austryę, która dziś rozluźnia się w swoich spojeniach. Jest to faktem, który uznają i w Niemczech. W miejsce silnego sąsiada, dostaliśmy słabego, graniczyło z nami wielkie mocarstwo, przodujące w Niemczech, dziś — mówiąc słowami *Köln. Ztg.* — „prosty aglomerat walczących z sobą plemion i narzeczy.“ Niemcy. w r. 1878 posunęły Austro-Węgry do Bośnii, lecz pomoc ta nie wzmocniła, ale raczej osłabiła ją materyalnie a szczególnie moralnie, dosadnie stwierdzając jej niemoc w dokonaniu tej misyi, jaka została jej narzucona. Czyż nie w tej to chwili właśnie rozpoczęła się w Austryi zacięta, dziś „dochodząca prawie do otwartego starcia“ walka narodowości? Czy rzeczywiście powiększyły się znaczenie i wpływ Austryi na wschodzie? Nie dalej jak przed rokiem w sejmie węgierskim gorąco i z głębokiem przekonaniem wykazywano, że Austrya od chwili posunięcia się na półwysep bałkański ściągnęła na siebie ogólną niechęć wchodzących w jej skład narodów. Przyjaźń Austryi z rządem serbskim nie mogła i nie może tego zmienić. Austrya za pośrednictwem Niemiec usiłuje zapanować na dolnym Dunaju. Jako tako potrafi jeszcze utrzymać zgodę z władzami rumuńskiemi, lecz to wcale nie przeszkadza Rumunii marzyć o przyłączeniu większości swojego narodu, dotąd grzęznącego w Węgrzech. Słowem, ani z Niemcami, ani z polityką Niemiec nie mamy żadnych rachunków: ani Niemcy nie zapomniały nic u nas, ani my u Niemiec.“

Co to jest zdrożnością! Rozpalony do białości w obronie religii katolickiej *Dziennik poznański* opowiada z oburzeniem, że w jednej szkole nauczyciel rzekł do uczniów: „Zaprowadzę was na górę, z której będziecie mogli obejrzeć zasady rozmaitych wyznań i utworzyć sobie o nich sąd.“ Nie dosyć tego. Ów straszny nauczyciel posunął się tak daleko, że pytał uczniów, „jakie ich jest osobiste mniemanie o reformatorach szwajcarskich.“ To też *Dziennik* jest najpewniejszym, że takie wykłady zaszczepią w młodzież „najzdrożniejsze zasady.“

Gdzie my niezadługo w fanatyzmie nie zajedziemy, jeśli tak piszą gazety... liberalne.

Zemsta. Wszystkie gazety rosyjskie z powodu śmierci Turgeniewa wyraziły swój żal i godnie oceniły stratę. Tylko jeden redaktor, niegdyś przyjaciel nieboszczyka, ani słówkiem nie wspomniał o jego zgonie. Nieszlachetna ta zemsta znalazła należytą ocenę w dziennikach rosyjskich. *Nowosti* tak mówią o tym fakcie:

„Znalazł się organ, który pominął milczeniem tę niewynagrodzoną stratę narodu rosyjskiego. Czy nazwać mamy ten organ i czy szukać odpowiedniej nazwy dla jego zimnej, mściwej nienawiści do nieboszczyka, za to, że on, pragnący prawdy i szczęścia Rosyi, zerwał za życia wszelkie stosunki z tym zwiastunem ciemnoty i zastoju. Sądzimy, że czytelnik odgadnie bez trudności imię tego ponurego policyanta prasy rosyjskiej — a jeżeli nie zgadnie i nie zainteresuje się nim — tem lepiej! W godzinę narodowej żałoby ogólna, milcząca pogarda jest najwłaściwszą karą dla tych złośników i obskurantów, którzy śmią jeszcze nazywać się patryotami.“

Inne gazety odezwały się podobnież.

Sprawa żydowska, wysunięta na plan pierwszy przez ostatnie wypadki, pobudziła *Gazetę polską* do następujących, w znacznej części trafnych uwag. Wykazawszy, że antisemityzm umie się zdobyć jedynie na „burdy,“ że mu „starczy złej woli na krótkotrwałe gwałty uliczne, ale nie starczy mocy na wielki przewrót społeczny“ *Gazeta* powiada:

„Co zawiązał bieg historyi, to rozwiązać tylko może cywilizacyjna praca pokoleń, zdobywając coraz większą sumę światła, kształcąc stosownie zdolności, budząc poczucie honoru i cnoty w całym ogóle zarówno chrześciańskim jak i żydowskim. Mimo hec antysemickich żyd nie opuści swego siedliska, gdzie się urodził i gdzie przyszli na świat jego rodzice, a gdyby nawet pod wpływem trwogi wywędrował na czas jakiś, to przeczekawszy burzę, wróci znowu, aby po dawnemu żywić się chlebem ziemi, względem której nie uznaje żadnych obywatelskich obowiązków, — i by wyzyskiwać, o ile się da, społeczeństwo obce sobie i nieprzyjazne, dla którego sam też równie jest obcym i nieżyczliwym. Wróci zaś dlatego, że wszędzie indziej nie zazna lepszej doli, że nie umie i nie chce stać się nigdzie istotnie pożytecznym członkiem ogółu, w starem zaś gnieździe łatwiej mu prowadzić zwykłe swoje, godziwe czy mniej godziwe rzemiosło. Byliśmy już świadkami podobnych emigracyj żydowskich i widzieliśmy, na czem się skończyły. Przerażony tłum na razie uciekał aż za ocean, chroniąc się od prześladowania, — skoro zaś ustały napaści, znalazł się niebawem tam w komplecie, skąd go wypłoszono chwilowo. Czy przynajmniej ciężka próba losu poprawiła go trochę? Wcale nie. Jakim był przed hecą żydowską, takim został po niej. Dopóki skazany jest na to, aby rósł w najgrubszej ciemnocie i żył w ciągłej demoralizacyi, póty nie może niebyć ciemnym i zdemoralizowanym; dopóki niezaradny szlachcic i nierozwinięty umysłowo chłop pozwolą mu zbierać grosz z oszustwa, frymarki, zdzierstwa i lichwy, póty nie przestanie być szachrajem i lichwiarzem; dopóki wszystkie głębsze umysły i szlachetne serca ziomków nie rozciągną nad nim bratniej opieki moralnej, póty nie będzie czuł się synem kraju i do służby patryotycznej nie przystąpi. Na ten stan rzeczy system pana Stöckera i spółki nic nie poradzi. Wyższej tu mądrości potrzeba.“

Przypomniawszy dalej szlachetne projekty ucywilizowania żydów z wieku zeszłego u nas i zaznaczywszy, że interes bieżącej chwili wymaga zbratania się, nie zaś prześladowań i rozdziału, *Gazeta* dodaje:

„Należy oczywiście, aby tutejsza inteligencya żydowska ze swej strony nie zapomniała, że jest przedewszystkiem polską, i — że ten charakter zakreśla jej naturalne granice ściślej solidarności, wobec których sympatye plemienne i alianse wyznaniowe zejść muszą na plan ostatni. Kruszyć kopię o nieskazitelną cześć żydowstwa, rozsianego po świecie, nasi polscy izraelici nie mają *żadnej racyi*. Szaleństwa antysemityzmu zasługują na potępienie, lecz i żydzi nie są bez winy. Egoizm, kosmopolityzm, łączenie się z silniejszym przeciw słabszym, hołdowanie bezwarunkowe potędze materyalnej, nienasycona ambicya, nieznośna próżność, nieprzebierająca w środkach chciwość—oto są wady, niezawsze niesłusznie zarzucane żydom. Wadami temi zbyt często nacechowana bywa ich działalność ekonomiczna, parlamentarna, i literacka. Z organów prasy niemieckiej w Wiedniu, w Berlinie i w Poznaniu nikt podobno nie rzucił polakom, duszonym przez centralistów i kulturträgerów, tyle obelg i potwarzy, tyle kłamstw bezwstydnych — ile dzienniki semickie. Znane też jest zachowywanie się żydów

w Poznańskiem, gdzie germanizacya znajduje w nich na każdym kroku powolne i zręczne narzędzia. Nie mamy przeto powodu egzaltować się żydami, zwłaszcza zagranicznymi, ale mamy powody niezmiernie ważne uzacniać, oświecać i zrobić ich swymi przyjaciółmi, swymi sprzymierzeńcami—u siebie w domu.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytet. Dnia 11 b. m. odbył się akt uroczysty zamknięcia roku szkolnego w uniwersytecie tutejszym. Czytający sprawozdanie prof. Tress nazwał go smutnym, gdyż umarli: pp. Andrejew, Makuszew i Baskakow, a nadto studenci, zapomniawszy o obowiązkach swoich, urządzili wzbronione zebranie, skutkiem czego 128 wydalono.

Dalej sprawozdawca wspomniał o dwu dymisyach: dra P. Chmielowskiego i rektora Błagowieszczeńskiego, którego zastąpi dyrektor Instytutu w Nieżynie, Ławrowskij. Nastąpiły daty statystyczne. Biblioteka główna posiada 183,165 dzieł (dokupiono za 5405 rs.), czytelnia studencka zaś 8200 (dokupiono za 900 rs.). Liczba studentów: na wydziale historyczno-filologicznym w początku roku 30, nowych przybyło 23, ubyło w ciągu roku 16, wydalono 2, ukończyło kurs 12. zostało na rok następny 23.

Na wydziale matematycznym na początku roku 109, przybyło nowych 37, ubyło 37, wydalono 10, ukończyło kurs 8, pozostało 91.

Na wydziale nauk przyrodniczych 41, przybyło 22, ubyło 9, wydalono 17, ukończyło kurs 6, zostało 30.

Na wydziale prawnym 252, przybyło 142, ubyło 39, wydalono 15, zmarł 1, ukończyło kurs 24, zostało 315.

Na wydziale lekarskim 463, przybyło 163, ubyło 52, wydalono 81, zmarł 1, ukończyło kurs 66, zostało 426.

Ogółem znajdowało się na początku roku szkolnego 893 studentów, nowych 327, ubyło 94, wydalono 128, ukończyło kursa 116, zostało na rok następny 885.

Wolnych słuchaczów było na początku roku 8, przybyło 13, ubyło 18, zostało 3.

Farmaceutów 34, przybyło 69, ubyło 18, wydalono 3, ukończyło kurs 27, zostało 49.

Od opłaty półrocznego wpisu uwolniono studentów 325, na sumę rs. 8125; stypendya pobierało 150, na rs. 36,538; z największych stypendyów ministeryalnych po rs. 350 rocznie korzystało 30 studentów. Wreszcie jednorazowych zasiłków udzielono studentom na ogólną sumę około rs. 7,000.

Za rozprawy konkursowe otrzymali: medale złote: Razumiejczyk Adam (matem.), Neumark Jakób (praw.), Bujwid Otton (lek.), Kijewski (lek.); srebrne: Cybulski (filol.) i Pawlikowski (prawn.).

W końcu sprawozdawca witając generał-gubernatora Hurkę, uczcił zasługi gen. Albiedyńskiego dla uniwersytetu.

Rozporządzenie wyższej władzy szkolnej nakazuje nowo-przyjętych uczniów w ciągu dwóch pierwszych miesięcy poddawać próbom, które stanowczo mają wykazać, czy są oni dostatecznie przygotowani do słuchania wykładów. W przeciwnym razie rada pedagogiczna przenieść powinna ucznia do klasy niższej, lub w braku miejsca — usunąć go z zakładu całkowicie.

Brak miejsca. Na 290 wakansów w wyższych zakładach naukowych w Petersburgu przystąpiło do egzaminów 1839 kandydatów.

Uczczenie. Na zjeździe przyrodników w Odesie postanowiono pewne świeżo odkryte odmiany istot świata zwierzęcego i roślinnego nazwać imieniem Iwana Turgeniewa. To już za wiele!

Czapki uczniowskie. Przed rokiem zaprowadzono nowe, okrągłe czapki dla uczniów gimnazyów, obecnie kazano je zmienić na inne, podobnego kształtu, ale sztywne, z wyprostowanymi za pomocą drutów brzegami, jak oficerskie.

Wyjaśnienie. Okólnik kuratora warszawskiego okręgu naukowego, zamieszczony w *Dzienniku Warszawskim* brzmi w dosłownym przekładzie z rosyjskiego: „P. minister oświecenia dnia 20 maja r. b. za nr. 6449 raczył zawiadomić kuratora okręgu, że Jego Ekscelencya jednocześnie porozumiał się z ministeryum spraw wewnętrznych w przedmiocie wyjaśnienia naczelnikom gubernij w Kraju Nadwiślańskim, iż moc okólnika ministeryum oświecenia z d, 14 lutego 1882 r. o kształceniu domowem pośród ludności wiejskiej nie rozciąga się na rzeczone gubernie.“

Narodowość urzędników kolejowych. Gazety rosyjskie donoszą, że wszystkie zarządy dróg żelaznych złożyły żądane przez ministeryum komunikacyi sprawozdania o składzie osobistym służby kolejowej, wraz ze szczegółowym wykazem narodowości urzędników.

Uwolnienie. Fabryka żyrardowska uwolniła niedawno od obowiązków wszystkich oficyalistów, którzy śmieli czynić starania o miejsce w nowobudującej się w Częstochowie fabryce innej firmy.

Nominacya. Głównym inspektorem fabrycznym mianowany został p. Michajłowskij, nauczyciel historyi w Instytucie Maryjskim (?).

Jeszcze jedno ministeryum. Kupiectwo rosyjskie wniosło do władz wyższych memoryał w sprawie utworzenia oddzielnego ministeryum handlu, zamiast istniejącego w ministeryum skarbu departamentu handlowego.

Pogrzeb Turgeniewa. Rada miejska (duma) Petersburga postanowiła na pogrzeb wysłać deputacyę z prezydentem (gołowa) na czele, zakupić miejsce na cmentarzu i utworzyć stypendyum w uniwersytecie oraz szkołę elementarną imienia zmarłego.

Bibliografia polska. A. G. Bem. *Zarys wykładu mowy polskiej* według wskazówek językoznawstwa porównawczego. Tom I, Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— A. M-skl. *Ostatnia pieśń pielgrzymki* Childe-Harolda (z Lamartina). Wilno, Zawadzki.

— *Pisma* Stanisława Trembeckiego, Biblioteka klasyków polskich, tom II, Lwów. H. Altenberg.

— J. K. Corwin-Piotrowski. *Jezuici.* Tom I. — Kraków.

— Adolf Dygasiński, *Wypisy polskie.* Część niższa. Wydanie drugie. Warszawa. Lesman i Świszczowski.

— Bronisław Grabowski. *Drugi raz.* Obrazek dramatyczny w 1 akcie. Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— Stanisław Sobieski, Zbiór autorów rzymskich *Cornelius Nepos.* Zeszyt 15 i 16. Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— Feliks Ehrenfeucht. *O opinii publicznej*, odczyt — Warszawa, Lesman i Świszczowski.

OFIARY.

Na Kasę imienia Mianowskiego. Jedenastu kolegów, którzy w r. 1873 ukończyli w uniwersytecie warszawskim sekcyę matematyczną fakultetu fizykomatematycznego, obecnych na pierwszem w dniu 8-go września 1883 zebraniu — rs. 55; Wroński Stanisław z Kuczkuryszek rs. 5.

Sprostowanie. W nrze poprzednim, str. 426, szp. 3, w. 23 zamiast Raabwitz, winno być *Raab.*

OD ADMINISTRACYI PRAWDY.

Skutkiem wyczerpania się II-go tomu **Głównych prądów literatury XIX-go wieku** książki tej żądającym przesłać nie możemy. Pozostają nam tylko tomy I, III i drukujący się obecnie IV.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Сентября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.